

Wrestlingowa pasja
Od fana
do komentatora gali
STR. 14

Chóralny jubileusz
„Kanon” o 15-letniej
tradycji
STR. 20

Najstarszy doktorant
Historia
dr. Ignacego Skrzypka
STR. 28

Świat animacji
Graficzka, która podbiła
Hollywood
STR. 34

MARZEC
- KWIECIEŃ

MIASTOPLUS

Nr 1/2023 (95)

Wydanie bezpłatne
ISSN 2392-3385

www.miasto.koszalin.pl

WSZYSTKO W ŻYCIU
MOŻNA POGODZIĆ





Najładniejsze łazienki w mieście!

Koszalin, Gnieźnieńska 11
tel. 94 346 09 02
www.bokaro.pl

pon. - pt. 8:00 - 18:00,
sob. 9:00 - 14:00



BIURO TURYSTYCZNE
Sławomira Małgorzata Ignatowicz

Z NAMI ODPOCZNIESZ TAK JAK LUBISZ!

WAKACJE 2023

jeszcze w promocyjnych cenach!

W stałej sprzedaży:

bilety lotnicze, promowe i autokarowe, wizy
 rezerwacja hoteli, ubezpieczenia turystyczne



Wspieraj lokalne biura podróży. Nie kupuj w internecie, rezerwuj wyjazdy u nas

NR ZEZWOLENIA Z-02/03/04



Firma należy do grupy:



75-014 Koszalin, ul. Gen. Wł. Andersa 2, tel./fax (94) 347 04 59, 342 45 11
e-mail: turysta.koszalin@interia.pl, www.turysta.koszalin.pl

JUŻ BLIŻEJ NIŻ DALEJ...

Za nami noworoczne planowanie i obietnice. Przed nami wytęsknione ciepłe dni, wypełnione słońcem i nadzieją na lepsze. Ani się obejrzymy, a będziemy planować urlopy (niektórzy już to robią). A że portfele cięsze i pieniądze jakby mniej... Trudno. Przeżyjemy i to.

W dobie mody na minimalizm może ten niechlubny czas wysokiej inflacji będzie pomocny w nauce otaczania się bardziej wspomnieniami niż przedmiotami?

Wiosna prowokuje wielu z nas do robienia generalnych porządków. Kiedyś czas przed świętami wielkanocnymi oznaczał mycie w ciepłej wodzie z detergentem licznych kryształów, dziś bardziej myślimy o tzw. odgruzowaniu. I bardzo dobrze, bo ponoć porządek wokół nas oznacza także porządek w nas samych. Coś w tym jest, jakoś ta poukładana półka z książkami współgra z poukładaną duszą. Czego sobie i każdemu z Państwa życzę.

Wiosennie i z werwą prezentujemy Państwu nasze „Miasto Plus”. A że wspaniałą motywacją do porządkowania codzienności jest dobry przykład – warto zajrzeć na nasze strony. Na początek Alicja Tułnowska (nasza białogardzka wysłanniczka) przedstawia człowieka nietuzinkowego. Wszyscy wiemy, że dziś słowa „artysta” i „talent” bywają wyświechtane i nadużywane, w tym przypadku o żadnym nadużyciu nie ma mowy. Nasz bohater z okładki całkiem serio talentami mógłby obdzielić co najmniej kilka osób, a gdyby jeszcze wziąć od niego ciekawość świata i pasję do życia, można by stworzyć jeszcze kilka interesujących postaci. Tymczasem on tworzy. Lalki, obrazy, karykatury, muzykę. Do wyboru, do koloru.

Inną pasję ma bohater Moniki Kwaśniewskiej. Piotr Małecki upodobał sobie... wrestling. Niektórzy spierają się, czy to sport, czy artystyczna gra, a on... komentuje starcia tytanów. A wszystko zaczęło się od... gry wideo.



Nie każdy wie, że Koszalin i Sianów mogą pochwalić się utalentowaną młodą aktorką. Maja Wolska mieszkała w Sianowie, a pierwsze artystyczne szlify zdobywała właśnie w naszym mieście. Teraz rozpoczyna, i to z impetem, aktorską karierę. Z pewnością będzie o niej coraz głośniejsze. Trzymamy kciuki!

Kibicujemy także innej młodej artystce. Monika Delik rozkochwała się w sztuce kolażu, a pomogła jej w rozwinięciu tej pasji... pandemia koronawirusa. Z radością tworzy i z dumą prezentuje swoje prace. Warto poznać twórczość tej młodej artystki.

Izabela Nowak rozmawiała z miłośnikami śpiewania, i to zespołowego. Chór „Kanon” z Cewlina w tym roku będzie obchodził jubileusz, warto przy okazji co nieco więcej dowiedzieć się o tym wyjątkowym zespole.

A jeśli o wyjątkowości mowa – nieczęsto zdarza się człowiek, który zdobywa doktorat w wieku 83 lat. Z decyzji pana Ignacego Skrzypka niejeden mógłby wziąć przykład. Przez całe życie zawodowe zajmował się archeologią, i to tak zachłannie, że nabrał wystarczająco dużo materiałów, żeby zafundować sobie naukowy tytuł. Jak pomyślał, tak zrobił. Tylko bić brawo!

Robert Nawrocki zaprasza do zwiedzania świata Majów, to dla miłośników podróży. A do świata animacji zabierze nas Izabela Poznańska.

W kąciu czytelniczo-muzycznym mamy nową propozycję – tym razem filmową.

Zapraszam do lektury i niech ta wiosna przyniesie nam wszystkim radość w czystej postaci!

Joanna Wyrzykowska
redaktorka naczelna

DZIAŁO SIĘ W STYCZNIU I W LUTYM:



Wyjątkowy jubileusz obchodzi w 2023 roku Szkoła Podstawowa nr 5 w Koszalinie. To placówka z 75-letnią tradycją, więc podczas świętowania nie zabrakło gratulacji od wielu ważnych gości, a obchody uświetnili swoim występem także obecni wychowankowie szkoły – zarówno ci młodszy, jak i nieco starsi.



8 stycznia w gminie Będzino odbyły się przedterminowe wybory na wójta. Ze zdecydowaną przewagą głosów wygrała je Sylwia Halama, która pełniła już obowiązki wójta od końca sierpnia, po odwołaniu w atmosferze skandalu Mariusza Jaroniewskiego, byłego włodarza gminy.



Wiele lat pracy z licznymi sukcesami ma za sobą Fundacja „Nauka dla Środowiska”. Ta organizacja, zajmująca się przede wszystkim działaniami związanymi z ochroną przyrody, turystyką alternatywną, a także integracją społeczną, świętowała w styczniu 20-lecie istnienia.



W nowym roku, niestety, kierowcy nie mają łez. Wciąż walczy z korkami w mieście spowodowanymi dużą liczbą remontów. A na początku roku poinformowano jeszcze mieszkańców o planach remontu ul. Szczecińskiej, co stanowi dodatkowe utrudnienie w ruchu...



W lutym okazało się, że dług Koszalina znacząco się powiększył. Wszystko przez zgodę radnych na emisję obligacji na kwotę 120 mln zł. Jeśli wszystkie obligacje zostaną wyemitowane, to na koniec roku dług miasta będzie wynosił 400 mln zł.



Tym razem to nie COVID, a grypa zaatakowała dotkliwie Polaków i zmieniła się w główne zagrożenie epidemiczne. Jako skuteczne narzędzie walki z chorobą specjaliści wskazują szczepienia, jednak te nie dla każdego są darmowe czy choćby częściowo refundowane, a nierzadko to pacjent musi dostarczyć wykupioną szczepionkę do punktu szczepień.

MIASTOPLUS

tel. 94 720 24 00, fax 94 720 24 19
redakcja@miasto.koszalin.pl

Redaktor naczelna:
Joanna Wyrzykowska

Redakcja: Radosław Czerwiński, Monika Kwaśniewska, Marcelina Marciniak, Izabela Nowak, Robert Nawrocki, Magda Pater (foto), Mateusz Prus, Kuba Staniak, Alicja Tułnowska, Tomasz Wojciechowski, Magdalena Wojtaszek

Dział reklamy:
Ewa Langner, tel. 94 720 23 06, ewa@tkk.net.pl
Agnieszka Szkapicz, tel. 94 720 24 11, agnieszka.szkapicz@miasto.koszalin.pl

Wydawca:
Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o.
ul. Kotarbińskiego 3,
75-352 Koszalin
tel. 94 720 23 00, fax 94 720 23 33

Grafik:
Piotr Witkowski

B+M-med

CENTRUM MEDYCZNE



- + chirurgia naczyniowa i ogólna**
(w tym konsultacje chirurgiczne, badanie USG Doppler, kompleksowe leczenie żyłaków kończyn dolnych przy użyciu lasera, zamykanie pajęczków naczyniowych)
- + anestezjologia, medycyna bólu**
- + ortopedia i traumatologia narządu ruchu**
- + fizjoterapia** (20 różnych zabiegów od laseroterapii po masaż klasyczny i ultradźwięki)
- + radiologia i diagnostyka obrazowa**
- + urologia**
- + kardiologia** (w tym echo serca, EKG)
- + dermatologia – wenerologia**
- + pulmonologia**
- + neurologia, logopedia**
- + gastrologia** (gastroskopia, kolonoskopia)
- + podologia**
- + porady dietetyczne**
- + konsultacje psychologiczne**

Centrum Medyczne BiM-med Koszalin

ul. Kościuszki 2, 75-402 Koszalin • pn-pt 9.00-20.00

Rejestracja telefoniczna pn-pt 15.00-20.00 • 94/717-07-70 • rejestracja@bim-med.pl

DUSZA RENESANSOWA

Marek Kopczyński to człowiek o tak wielu talentach artystycznych, że mógłby nimi obdarować kilka osób. Nie tylko maluje obrazy, tworzy karykatury, szkice, ale też m.in. tworzy lalki, pisze scenariusze, bajki, reżyseruje spektakle, komponuje, prowadzi teatr. A ponadto, co ruzs rozwija nowe umiejętności. Swoimi pasjami pan Marek chętnie dzieli się z innymi i motywuje ich do rozwijania własnych talentów. Jednak miejscem, w którym najlepiej współgrają jego talenty, jest Teatr Lalek „Marko”, który w tym roku obchodzi 20-lecie.

Tekst: Alicja Tułnowska

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum prywatne

Obserwując mnogość talentów i umiejętności pana Marka, można odnieść wrażenie, że nawet słowo „artysta” – w dzisiejszym znaczeniu – nie odzwierciedla go w pełni, choć wydaje się najbliższe. – Generalnie zajmuję się wszystkimi odmianami sztuki. Nie było mi dane nigdy, żeby dostać się do szkoły muzycznej, ale mimo to nie poddałem się i muzyka była dla mnie zawsze numerem jeden. Skończyłem Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Szczecinie, więc z drugiej strony plastyka, malarstwo... A teatr to kierunek środkowy, gdzie praktycznie pomieszały się chęci komponowania muzyki z robieniem lalek, gdzie plastyka ma kolosalne pole do popisu – trzeba umieć rzeźbić, rysować, zaprojektować i wykonać dekoracje... W zasadzie od 1996 r. zostałem wstawiony w tę bajkę z lalkami i to są duże korzyści, bo to jest połączenie tych dwóch dyscyplin, które są tak odmienne – opowiada Marek Kopczyński.

Jak wspomina białogardzki artysta, od zawsze otaczał go świat i ludzie sztuki. Jako syn rzeźbiarza i dekoratora nierzadko brał udział w różnych projektach. – Spotykałem wszystkich np. Wojt-

ka Sawilskiego, nawet jako małe dziecko pozowałem do reklam na samochodach czy do rysunków kościelnych, gdzie na szkicach robiono ze mnie aniołka – wspomina. – Było towarzystwo, a że plastyka była blisko muzyki – był Zefir, były zespoły muzyczne, więc do ojca przychodzili muzycy. Te dwa światy w jakiś sposób cały czas w moim życiu się ścierały, a wykorzystałem chyba wszystko to, co możliwe.

MUZYCZNY TALENT

Trudno zliczyć instrumenty, na których gra białogardzianin. Pierwsza w jego sercu pojawiła się perkusja. – Potem był jakiś flet prosty, więc pomyślałem, że fajnie byłoby nauczyć się na saksofonie, na akordeonie, na gitarze, na harmonijce – no dlaczego nie... Ja dochodziłem do tego sam – opowiada, wymieniając część instrumentów.

Choć nie ma wykształcenia muzycznego, w jego życiu nie zabrakło historii, których może pozazdrościć mu niejeden zawodowy muzyk, grał m.in. z Anną Jurkiewicz, dostał kiedyś także







propozycję od Aleksandra Maliszewskiego (Alex Band). – Usłyszeli, jak gram na perkusji i chcieli mnie wziąć do big-bandu, ale pierwsze pytanie Maliszewskiego było, czy ja czytam nuty... – wspomina. – Później założyliśmy zespół BMW z Waldkiem Pawlukiewiczem i z Bogdanem Jagłowskim – taki skrót „Bogdan, Marek, Waldek”.

Marek Kopczyński został także dostrzeżony przez grupę Lady Punk. – Graliśmy fajny wspólny koncert w amfiteatrze w Kołobrzegu – Oddział Zamknięty, Lady Punk, a my przed nimi jako grupa dobrze zapowiadająca się. Akurat Lady Punk miał problem ze zmianą perkusisty. Zobaczyli, jak gram i dostałem propozycję. Odmówiłem, bo uważałem, że tu jest pole do popisu, żebyśmy w mieście mogli stworzyć kapelę taką, która będzie blisko naszych domów, rodzin i nie będziemy musieli się gdzieś tam włączyć po świecie, ale potem koledzy wyjechali do Niemiec zarabiać na sprzęt i nie wrócili, więc ta nasza grupa BMW gdzieś tam się rozleciała – opowiada.

Już z nowym zespołem – Koma – białogardzianin dostał w latach 90. zaproszenie do telewizji. – Wysłaliśmy kasety z moimi kompozycjami – no i zaproszono nas do „Swojskich klimatów”. To był chyba 1996 rok. I zafunkcjonowaliśmy z moją piosenką „Jestem gotowa już”. To była niesamowita przygoda, bo zespół z takiego małego miasteczka został zaproszony. Ten występ Komy w TVP był dla nas fajnym egzaminem. Rok później dostaliśmy zaproszenie od początkującej jeszcze telewizji – to była Telewizja Nasza (obecnie TVN). Wtedy to była wielka nobilitacja.

Obecnie pan Marek komponuje m.in. muzykę do spektakli te-

atru lalek czy pojedyncze utwory m.in. „Białogardzka kolęda”, a ostatnio stworzył lokalny projekt muzyczno-poetycki, który zaowocował dwiema płytami. – To był ukłon w stronę ludzi, spośród których niestety wielu już odeszło. Pisali piękne wiersze. Mogłem komponować muzykę do ich poezji, aranżować, usłyszeć, jak to ma zabrzmieć. Ale lubię takie wyzwania – dodaje.

TEATR I LALKARSTWO

Mało kto wie, że w Białogardzie funkcjonuje od 2003 r. Teatr Lalek „Marko”. Jak to się stało, że Pomorze Środkowe może się pochwalić takim skarbem? Czy łatwo podtrzymywać tę niszową tradycję? – Były różne przygody, podejścia – jeden z radnych powiedział: „Po co nam teatr lalek? Przecież może ktoś przyjechać”. Faktycznie, jesteśmy taką oazą w Polsce, bo miasteczko 23-tysięczne przez 20 lat może pokazywać swoim dzieciom tak trudną, niszową sztukę, jaką jest teatr lalek. Koszalin tego nie ma, Kołobrzeg tego nie ma – mają to duże miasta. Chyba najmniejszym miastem, jakie ma teatr lalek, jest Słupsk. – mówi szef teatru. – Jestem pasjonatem, więc postanowiłem zrobić teatr na mniejszą skalę. Uczyłem się praktycznie sam lalkarstwa i odkrywałem ten świat.

Trud popłacił, bo w 2009 r. spektakl „Dance dance” z autorskimi lalkami gąbkowymi pana Marka dostał się na Światowy Festiwal Solistów Lalkarzy. Był on tam jedynym nieprofesjonalnym lalkarzem. – Były gwiazdy z Rosji, z Nowego Jorku, z Rzymu i gdzieś ja, z Białogardu, się pojawiłem – dodaje.

Siedziba Teatru Lalek „Marko” znajduje się od 2009 r. w Cen-



trum Kultury i Spotkań Europejskich w Białogardzie. To tu mieści się warsztat pana Marka, gdzie można podziwiać stworzone przez niego lalki. – Jak zaczynałem tutaj, to już na całego, a wcześniej jako grupa rodzinna, bo wynajmowaliśmy kino „Bałtyk”, choć wcześniej w WTZ prowadziłem marionetki, ale to już historia. W tej chwili prowadzę ten teatr, ale zupełnie inaczej – opowiada. – Lalkarstwo to było takie moje marzenie, konstruowanie lalek. Filmy z Hensonem, gdzie pokazuje najwybitniejszych lalkarzy świata – coś niesamowitego dla mnie. Skąd się to wzięło? W 1986 r. pojechałem do Niemiec. Kupiłem bilet w jedną stronę i okazało się, że chyba nie zostaję w tych Niemczech i muszę zarobić na bilet w drugą stronę, więc wziąłem sobie flet, wyszedłem na ulicę, pograłem, obok jakieś obrazki posprzedawałem – dwa tygodnie i zarobiłem na bilet i coś ponadto. Ale ostatniego dnia zjawił się jakiś elegancko ubrany gość, wyjął wizytówkę i zaprosił mnie na spotkanie. Okazało się, że chodzi o największy dom towarowy w Essen, a to szef reklamy, który organizuje świąteczną promocję dla dzieci i to będą scenki z bajek świata, a główną postacią jest Rattenfänger von Hameln, czyli szczurołap, który gra na flecie. Temu człowiekowi spodobało się moje granie na ulicy i postanowił zrobić ze mnie tego szczurołapa (śmiech) – kontynuuje opowieść pan Marek. – To była przygoda, która zdecydowała o lalkarstwie. Minęło 10 lat i marzenia się spełniły, żeby wejść w ten świat.

Tworząc lalki do teatru, białogardzianin rzadko korzysta z pomocy z zewnątrz, czasem jednak wykonawca szyje strój wg projektu, a pan Marek zwykle korzysta z różnych materiałów, które

przynoszą ludzie. – To jest teatr społeczny – dodaje szef teatru.

A jak wyglądają kwestie techniczne i obsługa lalek? – Musiałem znaleźć metodę, żeby młodzi ludzie nauczyli się dość szybko operować lalkami, więc szukałem recepty na to, jak rozwiązać to technicznie – wyjaśnia. – Mamy lustro do ćwiczeń, więc można ćwiczyć przy lustrze każdy gest. W naszych spektaklach najczęściej lalkę obsługują dwie osoby – jedna obsługuje ręce, a druga zajmuje się głową. Też są lalki np. karateka, obsługiwane przez trzy osoby. Były też lalki pojedyncze np. lalki więdzmy. Pierwsze lalki nie ruszały ustami, natomiast mamy też lalki muzyczne, które śpiewają np. Stevie Wonder – tę lalkę obsługuje jeden lalkarz.

Co niezwykle, pan Marek nie tylko tworzy lalki do teatru, ale też m.in. pisze na jego użytek scenariusze czy komponuje muzykę. – Każdy dźwięk w moim spektaklu wychodzi z moich palców – najczęściej to instrumenty klawiszowe, ale nie tylko – grają też flety i inne instrumenty. Do tego dochodzi muzyka ilustracyjna. Pisanie piosenek dla dzieci do spektaklu ma tę przewagę nad pisanem piosenek dla dorosłych, że piosenki dla dzieci nie są nudne, ponieważ piosenki dla dorosłych mówią najczęściej, w 95%, o miłości – no i ile możemy ten temat drążyć? (śmiech). Natomiast kiedy zaczynam pisać kolejne piosenki dla dzieci, to muszę zgłębić temat np. poznać, jakie mamy rodzaje nożyc – była piosenka „Nożyce” do „Pinokia”, była piosenka o zwierzętach – jaki jest słoń, co robi żyrafa... Tam gdzieś w tekstach przewija się motyw edukacyjny, żeby przez piosenkę nauczyć dzieci bardzo szybko tego, co muszą wkuwać gdzieś tam na lek-

gach... – mówi białogardzianin i dodaje, że ponad 150 wykonawców użyło swojego głosu w spektaklach teatru.

Pan Marek dba jednak nie tylko o motyw edukacyjny w przedstawieniach. – Staram się do każdego spektaklu w jakiś sposób uruchomić interakcję z publicznością – nie na zasadzie losowania biletów na kolejny spektakl, tylko jako wprowadzenie publiczności w zabawę np. w „Bitwę o krowę” jest motyw, kiedy wojowie używają katapulty do walki i taka katapulta jest na scenie i pakowane są kule, które lądują w publiczności, więc jest fantastyczna zabawa. Dzieciaki odrzucają te kule i tak się bawimy. W „Szewczyku Dratewce” użyłem pompek wodnych, bo smok kichał, więc zabawa była niesamowita, bo woda leciała na całą publiczność – wyjaśnia szef teatru. – I ostateczna rzecz – finał musi być piosenką hitem, którą dzieci zaśpiewają na całego i wyjdą do domu z tą piosenką na ustach – to jest ważny element.

W przypadku scenariuszy w teatrze „Marko” wystawiane są spektakle nie tylko oparte na literaturze, ale również takie związane z regionalnymi podaniami, jak „Bitwa o krowę” (wznowienie pod koniec kwietnia br. w CKiSE) czy nawiązujące do historii o Górze Zamkowej. Wszystkie teksty pisze pan Marek.

W ŚWIECIE SZTUK PLASTYCZNYCH

Mówiąc o Marku Kopczyńskim, nie sposób nie wspomnieć o jego pracach malarskich. Artysta przyznaje, że w jego twórczości liczy się przede wszystkim realizm magiczny i surrealizm. – Zawsze surrealizm był dla mnie czymś fascynującym, co nie jest tylko wazonem kwiatów pięknie namalowanych, ale jest uruchomieniem swojej wyobraźni, bo malarstwo od czasów fotografii służy do czegoś innego. Większość zapomina o tym, starając się zrobić piękny realistyczny portret, ale myślę, że to wszystko przejęła fotografia. Gdybyśmy ciągle odtwarzali to, co już jest, to nikt by nie wymyślił czegoś nowego. Dlatego ten nurt surrealistyczny jest materiałem podatnym na spełnianie się kre-

atywne, tam nie ma ograniczeń, tam można bujać w obłokach – wyjaśnia.

Pan Marek lubi również tworzyć szybkie szkice z podróży. – Najpiękniejsze są uliczki włoskie czy chorwackie – tam jest gra światła, to ważna rzecz, no i oczywiście te różnice poziomów – uliczki i architektura. Ale to szybkie szkice, to nie jest bawienie się w cegielkę, to ma być po prostu takie naturalne. Ten nurt jest nurtem ćwiczebnym, chociaż są koneserzy tzw. sztuki przedstawiającej, natomiast dla mnie surrealizm jest numerem jeden – mówi.

Jak powstają prace pana Marka? Co najbardziej lubi obecnie malować? – Czasem robię szkice, ale czasem na gorąco, po narysowaniu kilku byle jakich kresek okazuje się, że ja już wiem, co widzę, bo najgorzej to zobaczyć białą kartkę, białe płótno,



Gabinet Ginekologiczno-Położniczy

Maria Kopaczyk-Pstrokońska

- profilaktyka onkologiczna
- kolposkopia
- cytologia
- USG
- antykoncepcja
- menopauza

Gabinet wykonuje zabiegi w zakresie GINEKOLOGII ESTETYCZNEJ

- labioplastyka
- laser endowaginalny APHRODITE
- urządzenie VagiTight HIFU

Wskazania do zabiegów przy użyciu urządzenia VagiTight Hifu:

- wysiłkowe nietrzymanie moczu
- zespół rozluźnienia pochwy
- atrofia urogenitalna
- lifting skóry sromu

Wskazania do zabiegów przy użyciu lasera:

- nieoperacyjne leczenie wysiłkowego nietrzymania moczu
- leczenie zespołu rozluźnienia pochwy
- leczenie atrofii i zespołu suchości pochwy
- wybielanie sromu
- usuwanie zmian w obrębie sromu i szyjki macicy (kłykciny, polipy, brodawki)
- labioplastyka

Ponadto wykonywane są zabiegi z użyciem kwasu hialuronowego w następujących wskazaniach:

- atrofia i wiotkość skóry warg sromowych większych
- poporodowe poszerzenie wejścia do pochwy i powiększenie światła pochwy
- atrofia śluzówki pochwy po porodzie i w okresie klimakterium
- rozluźnienie i przebudowa blizn po nacięciu krocza

Rejestracja telefoniczna: **tel. 94 333 39 37** lub na **znanylekaz.pl**
Poniedziałek-piątek 8.00-20.00

Koszalin, ul. Głowackiego 7, e-mail: **mcpstrokonska@gmail.com**





wtedy to jest rozterka, co namalować. Obecnie idę bardziej w stronę akryli, bo nie wymagają oprawiania, płótno jest płótnem – można je szybko zagospodarować i raczej wolę mniejsze formaty, bo jestem niecierpliwy (śmiech) i chcę kolejną odsłonę zrobić. Jest to fajna przygoda. Zostawiamy po sobie jakiś ślad, czy on się przyda komuś? Bywało wiele razy, że to dzięki temu, że malarze mieli swoje wizje, powstawały kolejne filmy fantastyczne – opowiada. – Chciałbym robić duże formaty, bo Starowieyski jest taką moją wykładnią i chciałbym malować przy publiczności, pokazywać, w jaki sposób powstaje dzieło, ale do tego potrzebne są środki i menadżer, który zajmie się tym wszystkim. Ja tak naprawdę w swojej twórczości prawdopodobnie dopiero na emeryturze zaczął poważnie zajmować się tzw. propagowaniem i dystrybucją swoich dzieł, bo tego jest tyle, że spokojnie mi wystarczy na kilka wystaw jednocześnie, bo i rysunki, i pastele, i obrazy – nazbierało się trochę tego. I takie akcje mnie fascynują, że coś się dzieje na wystawie, że nie jest to zwykły wernisaż, że gdzieś możemy pokazać ludziom, grając przy tym, proces tworzenia przez pokazywanie w filmie czy ewentualnie na żywo, jak to powstaje.

Nie raz artysta występował podczas wernisażu swoich prac w roli muzyka czy malował na żywo obrazy. Najbliższa wystawa pana Marka zaplanowana jest na 13 kwietnia w CKiSE w Białogardzie.

Warto wspomnieć, że Marek Kopczyński kiedyś regularnie na łamach lokalnej gazety publikował karykatury. – Przez wiele lat była gazeta „Białogardzianin” i w tej gazecie pokazywałem ludzi, którzy obok mnie żyją. Rysowałem ich – oczywiście za ich zgodą – z nich powstała pierwsza książka, a jest materiału na trzy książki... Są też ludzie kultury, aktorzy, muzycy. Mamy Majewską, Ziętek, Kuklińską, Ibisza, Siudyma, Cezika, Rynkowski, Tyma, Wodeckiego itd. – mówi artysta i dodaje, że wiele

znanych osób spotyka w CKiSE. – Jak przyjeżdżają, to rysuję im karykatury i zbieram na nich autografy.

Tworzy też m.in. plakaty czy rysunki, a już wkrótce po raz kolejny zaprezentuje swoje umiejętności satyryczne na międzynarodowej arenie. – Za chwilę będzie wystawa Olense Kartoenale Olen, a ja co roku biorę w niej udział – to są rysunki bez tekstu na zadany temat. W konkursie znajdują się rysunki prawie 350 satyryków z całego świata – dodaje białogardzianin.

WSZYSTKO JEST MOŻLIWE?

Pan Marek znalazł niedawno kolejną pasję. – Ostatnio zafascynowałem się nowymi instrumentami, które powstały ponad 20 lat temu na bazie steel drumów – to są hang drumy, które zostały przez Szwajcarów wyprodukowane, to te piękne misy tajemniczo brzmiące z takimi guzikami wypukanymi. Ale Rosjanie mają swoją wersję, czyli takie wycinane jęczyczki w tych misach – opowiada i dodaje, że są to drogie instrumenty, więc postanowił stworzyć ich najtańszą wersję na świecie. – Doznałem olśnienia. Spojrzałem na beczkę z piwem i stworzyłem kegdrum. Wykorzystałem wszystko to, co jest zbudowane naturalnie. Skala może być różna, to wszystko zależy od nas. Ja to musiałem wszystko ręcznie zrobić. Do pewnych rzeczy dochodziłem sam.

Przy tak wielu umiejętnościach, pasjach i zajęciach trudno jest wyobrazić sobie, w jaki sposób pan Marek funkcjonuje w ciągu doby, jednak dla niego to... żaden problem. Co więcej, od 27 lat pracuje jako terapeuta, w pracowni plastycznej w WTZ. – To jest kwestia logistyki – tylko i wyłącznie. Czasem się budzę i piszę scenariusze w nocy. Można wszystko w życiu pogodzić – myślę, że dużo czasu tracimy tak bezpowrotnie i bezsensownie przez ocieżale życie. Nawet oglądając gdzieś jakiś fragment telewizyjny, biorę gitarę i ćwiczę, a przy okazji coś komponuję – dlaczego nie? – wyjaśnia białogardzianin. ■

SŁÓW KILKA O WRESTLINGU

Wrestling w Polsce do najpopularniejszych rozrywek nie należy, jednak wszystko się zmienia. Coraz więcej osób przekonuje się do tej sportowej rozrywki, która w naszym kraju od niedawna zaczęła się rozwijać. Choć na razie mało osób zdaje sobie sprawę, to w Polsce odbywają się już gale wrestlingu, na których możemy spotkać zagraniczne gwiazdy. O tej sportowej rozrywce opowiada Piotr Małecki, który prowadzi na YouTube kanały o tematyce wrestlingowej „Głos Wrestlingu”, „Prawda Wrestlingu” oraz bierze czynny udział w galach Kinguin Prime Time Wrestling.

Tekst: Monika Kwaśniewska

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum prywatne

Wrestling w Polsce obecny jest już od ponad 10 lat, jednak nadal mam wrażenie, że nie jest on tak znanym i lubianym, jak za granicą. W czym tkwi problem?

– Wrestling obecny jest w Polsce już od dłuższego czasu. Jest w świadomości ludzi, tylko w polskim wydaniu bardzo trudno jest mu się wybić. Głównie dlatego, że skoro możemy obejrzeć wrestling na najwyższym poziomie, robiony przez najlepszych z najlepszych w Stanach Zjednoczonych, to decyzja jest prosta – wolimy obejrzeć to w telewizji. Problem z wrestlingiem w Polsce polega również na tym, że my mamy trochę inne podejście do sportu. Często pojawia się zarzut, że jest to udawane, w związku z czym nie można uznać tego za prawdziwy sport. Polacy nie potrafią kupić tej koncepcji. Możliwe, że wynika to z naszego narodowego nastawienia do sportu. Zamiast chłonąć tę sportową rozrywkę ze wszystkimi jej plusami i walorami, to wolimy powtarzać, że skoro ma to pewne cechy, których nie możemy przypisać prawdziwemu sportowi, to znaczy, że nie jest to godne zainteresowania.

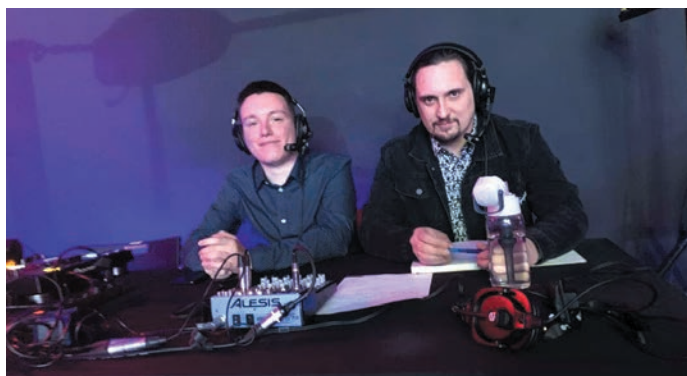
Wydaje mi się, że Amerykanie czerpią dużą rozrywkę ze sportu – a my Polacy, podchodzimy do tego bardzo serio.

– Wrestling jest określany jako rozrywka sportowa (ang. sport entertainment) i tak to jest rozpropagowane w Ameryce. Ale zaczniemy od początku. Wrestling to nie jest sport. Wrestling to jest taki misz-masz każdej sztuki performatywnej, jaką jesteś w stanie sobie wyobrazić. Wrzucone jest to wszystko do jednego gara, a produktem finalnym może być tak naprawdę wszystko, czego chcesz. To może być komedia, dramat, coś szybkiego, akrobatycznego itp. Oczywiście, różne rynki inaczej postrzegają wrestling. Choć nie lubię tego stwierdzenia, to często o wrestlingu



mówi się „opera mydlana na swój sposób”, tylko że w środku jest ring i w ten sposób opowiada się pewną historię. Możliwe, że przez nasze nastawienie, że nie jest to walka na śmierć i życie, to u wielu pojawia się myślenie, że nie ma sensu tego oglądać. Powoli stajemy się zmęczeni walkami MMA youtuberów, influencerów i celebrytów. I nagle wrestling staje się bardzo fajną alternatywą.

A jak to było u ciebie? Kiedy dowiedziałeś się o wrestlingu i co cię w nim zafascynowało?





- bramy
- drzwi
- okna
- podłogi
- rolety



www.domstyl.koszalin.pl

NAJWIĘKSZA EKSPOZYCJA
W KOSZALINIE

 OKNOPLAST

 WIŚNIEWSKI

 h tenso

 POL-SKONE

 DRE

 GERDA

 inter door

 H

 PORTA

 verte

 cal

 KIP

 QUICK STEP

 balterio

 BOEN

 JAWOR-PARKET

 KRONO

 JP

ul. Morska 4a, 75-281 Koszalin



– To był rok 2007. Grałem w grę wideo Smackdown Here Comes The Pain. I ktoś podczas rozrywki uświadomił mnie, że naprawdę odbywają się takie gale, jak w grze – byłem w szoku. Wrestling (cały czas odnoszę się do największej federacji WWE) ogląda się jak bardzo dobry serial.

Jak w Polsce wygląda wrestling? Są jakieś federacje?

– Obecnie jest kilka ośrodków, które działają w Polsce. Jedne są kontynuatorami myśli z tych 10 lat, inne są troszkę nowsze, ale myślę, że rośniemy do tego, by rynek był coraz większy. Obecnie w Polsce jest kilka ośrodków, które zajmują się wrestlingiem, galami. Największym jest Kinguin Prime Time Wrestling z siedzibą w Chorzowie. To jest to, do czego, jako scena wrestlingu, dążyliśmy przez kilkanaście lat. Jednak nie jest to koniec drogi. Ale jest to krok ku temu, by być naprawdę bardzo poważną federacją nie tylko na rynku europejskim, ale również i na światowym. Może i w Polsce nie ma jeszcze takiej kultury wrestlingowej, ale to, co my robimy w Kinguin Prime Time Wrestling, to już jest dostrzegalne na rynkach zagranicznych, gdzie wrestling jest popularniejszy. Tak jak wspomniałem, przed nami jeszcze długa droga, ale ta scena wrestlingowa zauważalnie rośnie i z każdym rokiem będzie po prostu coraz większa.

W zeszłym roku założyłeś kanał na YouTube o tematyce wrestlingowej. Czy chciałeś rozpromować tę rozrywkę szerszemu gronu?

– Niekoniecznie. Wrestling to temat, o którym bardzo lubię mówić. Mój kanał nie jest dla osób początkujących, które nie miały wcześniej styczności z wrestlingiem. Nie wyjaśniam na kanale takich podstaw, jak: czy to boli, czy ring jest zrobiony z trampoliny itp. Rzeczy, które ja robię na YouTube, są na razie niszowe.

A masz jakiegoś swojego ulubionego wrestlera? Udało ci się z nim spotkać podczas gali?

– To jest trudne pytanie, bo jeśli zadasz mi je za pół roku, to odpowiedź będzie inna. Jednak ponad wszystko są ludzie, których mam blisko serca. Jedną z nich jest Trent Seven, który przyjechał do nas na galę do Warszawy.

Jakiś czas temu po raz pierwszy w życiu miałeś okazję komentować dużą galę wrestlingu. Jakie to było uczucie? Spełniło się twoje marzenie?

– Oglądałem wrestling od kilkunastu lat. Zanurzyłem się w wrestlingu bardzo głęboko, to znaczy oglądałem mniej lub bardziej regularnie po kilkanaście federacji z całego globu, przez co mam bardzo duże rozeznanie w wrestlerach. Doszło do tego, że komentowałem walki osób, które ja znam i oglądałem od wielu lat. Myślę, że jest to istotne, że do nas do KPTW przyjeżdżają ludzie, którzy są widywani w telewizji. To są wrestlerzy, którzy występowali na takich arenach jak: Madison Square Garden (Nowy Jork), Tokyo Dome. To jest coś niebywałego, że wciąż na nie do końca ustabilizowany rynek wrestlingowy w Polsce, przyjeżdżają wielkie gwiazdy. Nie dość, że dostarczają w Polsce najwyższej jakości show, to jeszcze później regularnie do nas wracają. Niesamowite jest to, że mogę rozmawiać z ludźmi, których oglądałem kilka lat temu na komputerze. W pewnym sensie jest to poniekąd spełnienie marzeń, ale jednak trzeba pamiętać o swojej robocie – a nie jest to zawsze takie proste. Sam komentarz wrestlingowy jest o tyle trudny, że nie ma jak się go nauczyć za bardzo w naszym polskim środowisku. Dla mnie, dla osoby, która ogląda to od ponad 15 lat, to jest spełnienie moich marzeń, ale jednocześnie jest to motywacja do dalszej, ciężkiej pracy, by robić to coraz lepiej. ■

W ROLI GŁÓWNEJ – MAJA WOLSKA

W grudniu w jednym z serwisów streamingowych pojawił się serial „Pewnego razu na krajowej jedynce”. To opowieść o grupie podróżujących ludzi, których losy po drodze znacznie się komplikują. Ciekawa fabuła, piękna gra światła i charakterystyczne postacie. Dopiero po obejrzeniu całego serialu dowiedziałam się, że jedną z głównych ról – Diankę – gra dziewczyna z Sianowa, Maja Wolska. Chyba nie pamiętam, żebym w ostatnim czasie aż tak bardzo irytowała się jakąś postacią, co uważam za duży atut. Po czasie jest to bohaterka, którą zdecydowanie da się polubić. Humor, niepokój i odrobina absurdu – to wszystko znajdziecie w tej produkcji. Dzięki dobrym dialogom i scenariuszowi z tzw. plot twistem serial mija w mgnieniu oka. Jak się okazuje, Maja Wolska ma już za sobą spore doświadczenie w branży filmowej. Ukończyła Akademię Sztuk Teatralnych w Krakowie. Jej debiut można było zobaczyć na deskach Narodowego Teatru Starego u boku Anny Dymnej w spektaklu „Płatonow” w reżyserii Bogomołowa Konstantina. Oprócz tego Maja ma za sobą role serialowe w „Buncie” i „Pod powierzchnią”. Jednak zdecydowanie jedną z jej największych przygód jest netfliksowa produkcja „Pewnego razu na krajowej jedynce”.

Tekst: Magdalena Wojtaszek

Zdjęcia: Małgorzata Bochenek, Robert Pałka

Jaki był dla ciebie zeszły rok?

– To był bardzo miły rok pod względem pracy zawodowej. Szalony, zapracowany i przede wszystkim udany. Przy okazji „Buntu” przybyło mi mnóstwo wspaniatych przyjaciół. Przy okazji „Pewnego razu na krajowej jedynce” pierwszy raz mogłam zagrać jedną z głównych ról. Rok pełen nauki. Zrobiłam prawo jazdy. To strasznie długo się ciągnęło, bo nie mogłam się pogodzić z systemem, który stresuje ludzi. Teraz jeżdżę po Koszalinie autem mojej mamy (śmiech). W Polsce mamy przepisy, według których, żeby wsiąść za kierownicę na planie, musisz mieć prawo jazdy, bo w innym przypadku ubezpieczenie cię nie obejmuje. Jeśli coś by się wydarzyło, produkcja ponosi koszty, nie mówiąc o bezpieczeństwie. Postanowiłam zdać egzamin, żeby nie zdyskredytowała mnie to przy kolejnych projektach. Prawo jazdy to wolność.

Oglądając w grudniu „Pewnego razu na krajowej jedynce”, nie zdawałam sobie sprawy, że pochodzisz z naszego regionu. Można powiedzieć, że oceniałam produkcję obiektywnie. Twoją postacią również. W serialu Dianka jest osobą, która może denerwować...

– Ta rola była dla mnie superuwalniająca. Mogłam być kimś złym i nieprzyjemnym, a do tego mieć to wszystko gdzieś. To nie było łatwe, ale im gorzej, irytująco i beczelnie, tym lepiej. Do roli ojca Leona branych było pod uwagę kilku aktorów. Okazało się, że zagra go Juliusz Chrzastowski, aktor krakowski, którego uwielbiam i niejednokrotnie oglądałam na deskach Narodowego Teatru. I teraz przyjdź na przesłuchanie i bądź beczelna, niemiła dla osoby, która jest milion razy bardziej doświadczona niż ty i wie o wiele więcej. To było onieśmielające. Masz przed sobą kogoś bardzo wartościowego. Podczas castingu narzucaz jakąś formę, mimo że nie jesteś taka na co dzień, to możesz robić, co ci się podoba. Prywatnie często posługuję się sarkazmem i iro-

nią. Czasami przekraczam pewne granice – coś, co dla mnie jest śmiesznym żartem, dla innych bywa nietaktem lub złośliwością. Bardzo lubię się śmiać z moich kolegów, że są „starymi dziadami”. Mam wrażenie, że mam w sobie Diankę i mogłam ją uwolnić. Ona sobie hulała po tym lesie...

Która scena była dla ciebie najtrudniejsza?

– Pierwsze parę dni pracy to były sceny kręcone na autostradzie, jeżdżenie autem w kółko, ujęcia z bardzo daleka. W radiu leciał „Malinowy król”. Byliśmy w aucie również z Anną Ilczuk i Michałem Sikorskim. Schody zaczęły się, jak dojechaliśmy do lasu i była pierwsza scena straszenia naszych pasażerów. Miałam wtedy bardzo dużo tekstu i byłam tak zestresowana, że się kompletnie zacięłam. Nie byłam w stanie z siebie nic wydusić. Przerosła mnie ta sytuacja i przyszedł do mnie Grzesiek Jaroszuk, reżyser, bardzo miły człowiek i powiedział, że byłby wdzięczny, gdybym na przyszłość uczyła się tekstu. A ja odpowiedziałam, że nie o to chodzi, po prostu to był jeden jedyny moment. Każdy następny dubel już poszedł dobrze. Wybudzona w środku nocy powiedziałabym cały tekst, ale przerosło mnie, z kim współpracuję. Nagle miałam czuć się od nich lepsza jako postać i gardzić nimi. Panować nad sytuacją. Manipulować. To było bardzo trudne.

Oglądasz później siebie na ekranie?

– Widziałam serial na zamkniętym pokazie dla ekipy, przed premierą. Przez pierwszy odcinek myślałam, że umrę, a później stwierdziłam, że w sumie spoko. Jestem zadowolona i szczęśliwa. Widziałam to jeszcze raz w dniu premiery z przyjaciółkami z „Buntu”.

A co powiedzieli rodzice, kiedy zobaczyli na ekranie Diankę?





– Moja mama ogląda wszystkie rzeczy, w których biorę udział. Była zachwycona i obejrzała to dwa razy. Raz ze swoim partnerem. Bardzo jej się podobało, dzwoniła do mnie, jak skończyła odcinek, w którym Łukasz Garlicki umiera i zapytała, czy na pewno umarł (śmiech). A 15 minut później znowu zadzwoniła i zapytała, czy jest to film o zombie (śmiech). Moja mama była bardzo podekscytowana i dumna ze mnie. A warto podkreślić, że jest polonistką i jej opinia jest dla mnie ważna.

Czyli zawsze gdzieś ta kultura i szacunek do języka polskiego były dla ciebie czymś naturalnym...

– Dzięki niej bardzo wcześnie zaczęłam czytać książki, ale też pisać. Zawód mojej mamy sprawia, że jest również otwarta na moje doświadczenia i pomysły. Chęć wybrania zawodu aktorki nigdy nie stanowiła problemu. A to nie jest takie oczywiste, bo moi koledzy musieli się z tym mierzyć. Ja przy tej decyzji czułam wsparcie.

Czy w świecie aktorskim spotykasz na swojej drodze ludzi z Koszalinia, z Sianowa?

– Chwilę temu wróciłam z Muzeum Narodowego, gdzie byłam z Szymonem Majchrzakim, który tak samo jak ja był wychowankiem Ewy Czapik-Kowalewskiej. Poznaliśmy się w Studio Artystycznym im. Ziemińskich, jak miałam 15 lat. Przyjaźnimy się, ale także spotykamy na drodze zawodowej. Często widuję też innych ludzi ze studia. To ciekawe, że pochodzimy z niewielkiego miasta, a dzięki umiejętnościom, jakie zdobyliśmy w Koszalinie, możemy się spełniać w tym, co kochamy robić.

Skoro już mówimy o Studiu Artystycznym im. Ziemińskich, to ważnym dla ciebie wspomnieniem jest spektakl „Chodzenie po linie”?

– Ten spektakl był dla mnie bardzo uwalniający w kontekście moich doświadczeń związanych z pracą jako modelka. Był zgrabnym przejściem w to, co rzeczywiście chciałam robić. To był bardzo ważny czas i pierwsza tak istotna dla mnie rzecz, która udało mi się zrobić. Nagrody na prestiżowych festiwalach za ten spektakl były ukoronowaniem współpracy z Ewą Czapik-Kowalewską, która trwa dla mnie od 11. roku życia, a przypominam, że mam 26 lat. To było dla mnie bardzo ważne. Myślę, że

gratulacje należą się Ewie, bo była i pomysłodawczynią i reżyserką „Chodzenia po linie”. Bez niej nic by nie powstało.

A pamiętasz, kiedy przeczytałaś scenariusz do serialu „Pewnego razu na krajowej jedynce”? Jaka była twoja reakcja?

– Och, że to jest superpomysł. Dorota Trzaska to świetna scenarzystka. Często wpadała na plan. Kiedy przeczytałam ten scenariusz, to pomyślałam sobie, ale inba... Scenariusz skojarzył mi się z moimi ulubionymi filmami Almodóvara, z ich barwnymi, świetnie przemyślanymi postaciami. Rzadko się zdarza, że dostajesz scenariusz, i nie chcesz nic zmieniać.

A skąd czerpiesz inspiracje? Na kogo zapatrujesz się w polskim kinie?

– Pandemia pokazała, że oglądanie filmów bardzo rozwija. Ja miałam ogromne szczęście spotkać na planie już wcześniej wspomnianego Julka, który poza byciem świetnym aktorem jest też dobrym pedagogiem i bardzo często mi pomagał. Wiem, że jest mnóstwo młodych aktorów, którzy nie lubią w pracy podpowiedzi innych. Ja lubię. Julek proponował, że jeśli zrobię coś inaczej, to może wyjść super. To było bardzo pomocne.

Rozwijasz się w różnych dziedzinach artystycznych, chociażby haftujesz. Skąd pomysł na taką zawijkę?

– Postanowiłam stworzyć profil w internecie, o niecenzuralnej nazwie, więc teraz jej nie przytoczę, ale chodzi o ręczne hafty z brzydkimi słowami. Robię ludziom napisy na bluzach. To bywa kontrowersyjne, ale jednocześnie bardzo uwalniające. To są to tylko i aż słowa. Kiedy czegoś zabraniamy, zamykamy się, to bardzo nas ogranicza. A przecież tych słów używamy przy okazji silnych emocji, wzburzenia albo żartu. Używamy ich wszyscy, jednocześnie oburzając się, gdy padają publicznie. Dlaczego? To jest też swojego rodzaju arteterapia.

Warszawa jest twoim miejscem do życia?

– Tak. Bardzo lubię ludzi i grzanie się w ich ciepło. Podoba mi się kulturalna odsłona stolicy, gdzie mogę wybrać się na ciekawą wystawę, koncert czy spektakl. Mimo dużego skupiska ludzi czuję jakąś przestrzeń, w której jest miejsce dla mnie. Mieszkam blisko lasu, więc też mam czas na chwilę wytchnienia. ■

W OCZEKIWANIU NA JUBILEUSZ 15-LECIA TWÓRCZEJ DZIAŁALNOŚCI

Artystyczną wizytówką Żeńskiego Chóru Kameralnego „Kanon” z podkoszalińskiego Cewlina jest piękne brzmienie, bardzo bogaty i zróżnicowany gatunkowo repertuar oraz warsztatowa perfekcja. Ale nie mogło być inaczej, skoro ten wyjątkowy zespół powstał z prawdziwej miłości do muzyki od dzieciństwa towarzyszącej pani Katarzynie Żerdzickiej-Jasioneckiej, założycielce „Kanonu”.

Tekst: Izabela Nowak

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum Chóru „Kanon”

CHWILA WSPOMNIENÍ

– Muzyczną pasję odziedziczyłam po rodzicach i chyba wcześniej nauczyłam się śpiewać niż mówić – wspomina Katarzyna Żerdzicka-Jasionecka. – Uwielbiałam muzykę i swoją pasję rozwijałam w średniej Szkole Muzycznej w Bytomiu. Ale tak ułożyło się moje życie, że przez długi czas zajmowałam się zupełnie innymi sprawami. Razem z mężem zamieszkaliśmy w Cewlinie, prowadziliśmy gospodarstwo ekologiczne, a było to niezwykle absorbujące zajęcie. Przyszedł jednak czas, gdy w mojej głowie pojawiła się myśl o założeniu chóru. I był to zupełny przypadek. Otóż podczas wigilijnego spotkania usłyszałam kolędy pięknie

śpiewane przez panie mieszkające w Cewlinie i zobaczyłam w tych obdarzonych wspaniałymi głosami kobietach moje przyszłe chórzystki.

Pani Katarzyna podkreśla, że początki nie były łatwe. Wędrowała od jednego do drugiego domu, namawiając mieszkające tam panie do wspólnej pracy artystycznej. No i udało się! Jesienią 2008 roku osiem entuzjastek sztuki wokalne postanowiło stworzyć zespół chórny. Dylemat, jaką nazwę będzie nosił nowo powołany chór, rozstrzygnięto w drodze głosowania. Padały różne propozycje – m.in. „Szczygielki” i „Jagódki”, ale bezapelacyjnie zwyciężył szlachetnie i muzycznie brzmiący „Kanon”. I tak się to wszystko zaczęło...

– Do śpiewania w chorze próbowałam zachęcić także panów, był nawet czas, kiedy w zespole pojawiło się kilku śpiewaków. Ale na krótko. Zostałyśmy chórem żeńskim i w takim kształcie zadebiutowałyśmy już po trzech miesiącach wspólnej pracy, prezentując swoje wokalne umiejętności podczas świątecznego koncertu kolęd. I nie musiało minąć wiele czasu, kiedy nasz młodziutki chór stał się znany i popularny nie tylko w Cewlinie. Wielokrotnie wzbogacałyśmy swoimi koncertami lokalne uroczystości, festyny czy spotkania. I ogromnie polubiłyśmy to wspólne śpiewanie. Dodam jeszcze, że podczas organizowania różnych artystycznych wydarzeń zawsze mogłam liczyć na pomoc mojego męża, Henryka, z całego serca wspierającego moją muzyczną pasję.

GALERIA DYRYGENTÓW

Pierwszą dyrygentką Żeńskiego Chóru Kameralnego „Kanon” została Ewa Szereda, absolwentka Akademii Muzycznej we Wrocławiu, prowadząca wówczas w koszańskim Zespole Państwowych Szkół Muzycznych wielokrotnie nagradzany chór „Dysonans”. Pod opiekuńczymi skrzydłami pani Ewy chórzystki z Cewlina koncertowały podczas Przeglądu Chórów organizowanego w ramach Ogólnopolskiego Programu „Śpiewająca Polska”, występowały razem z uczniami ZPSM, otrzymały również wyróżnienie na Festiwalu Chórów Regionu Zachodniopomorskiego w Szczecinie. Ustawicznie doskonaliły swoje wokalne umiejętności, m.in. podczas Międzynarodowych Warsztatów Wokalno-Chórnych organizowanych pod patronatem marszałka województwa zachodniopomorskiego. Po kilku latach, w 2013 roku, panią





Ewę zastąpił kolejny profesjonalny dyrygent – Radosław Wilkiewicz, absolwent Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, dla którego praca z amatorskimi śpiewaczkami, bardzo zdolnymi i pełnymi muzycznej pasji, stała się źródłem wielkiej satysfakcji. Wraz z nim do repertuaru zespołu z Cewlina wkroczyła wielka chóralna klasyka. Wkrótce ambitnego pana Radosława pochłonęły nowe zawodowe obowiązki, więc dyrygentką batutę przekazał w ręce Katarzyny Żerdzickiej-Jasioneck: – Miałam wielką treść – wspomina pani Kasia. – Postanowiłam jednak spróbować. Przez cały czas pogłębiałam wiedzę, uczestniczyłam też w zajęciach seminaryjnych prowadzonych przez znakomitych specjalistów i poświęconych m.in. zasadom dyrygentury i metodyce prowadzenia zespołów chóralnych. Jako dyrygentka „Kanonu” zadebiutowałam w 2017 roku podczas uroczystości dożynkowych. I sądząc po reakcjach publiczności – był to debiut udany.

KONCERTY I FESTIWALE – OD KOŁĘD DO WIELKIEJ KLASYKI CHÓRALNEJ

Jednym ze znaków firmowych chóru „Kanon” jest niezwykle bogaty i zróżnicowany repertuar. Zaczęło się od chętnie śpiewa-

nych i przez wszystkich lubianych kołęd, pastorałek i popularnych piosenek ludowych. Dziś chórzystki zachwycają słuchaczy bardzo trudnymi technicznie wielogłosowymi pieśniami, skomponowanymi przez wielkich klasycznych kompozytorów. Wśród nich jest renesansowy twórca Mikołaj Gomółka, Stanisław Moniuszko i Johannes Brahms. Panie doskonale opanowały pieśni sakralne i właśnie z takim repertuarem często koncertowały podczas kolejnych edycji Międzynarodowego Festiwalu Organowego w koszalińskiej katedrze. Utalentowane chórzystki są również doskonale znane w Kołobrzegu, gdzie często występowały w bazylice konkatedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Z koncertem kołęd i pastorałek wystąpiły w Muzeum Narodowym w Krakowie, były również koncerty w Szczecinie, w Słupsku, w Warszawie, w Koszalinie i w wielu innych miejscowościach. Swoimi prezentacjami chórzystki wzbogacają lokalne uroczystości, wspierają także finały Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Oczywiście, w repertuarze chóru nie brakuje również nieco lżejszych wokalnych propozycji. Z pewnością należy do nich doskonale znana „Deszczowa piosenka”, zaaranżowana przez panią Katarzynę na chór żeński.





Śpiewaczki z Cewlina gorąco oklaskiwała również niemiecka publiczność, ponieważ chór „Kanon” koncertował także w Berlinie, w Dreźnie i w Hamburgu.

Panie ogromnie lubią artystyczne wyjazdy, chętnie uczestniczą również w licznych konkursach i festiwalach pieśni chóralskiej. Trzykrotnie występowały podczas Przeglądu ARA i PZCHiO w Szczecinie, skąd przywiozły dwa brązowe dyplomy i jeden srebrny. Sukcesem zakończył się również udział „Kanonu” w IV Festiwalu „Ave Maria” w Chojnicach, w IV Festiwalu „Pomierania Cantat” w Słupsku, w Festiwalu „Leć pieśni, leć sokołem” w Czersku i w Festiwalu „Pieśni o morzu” w Wejherowie, gdzie chórzystki prezentowały pieśni kaszubskie.

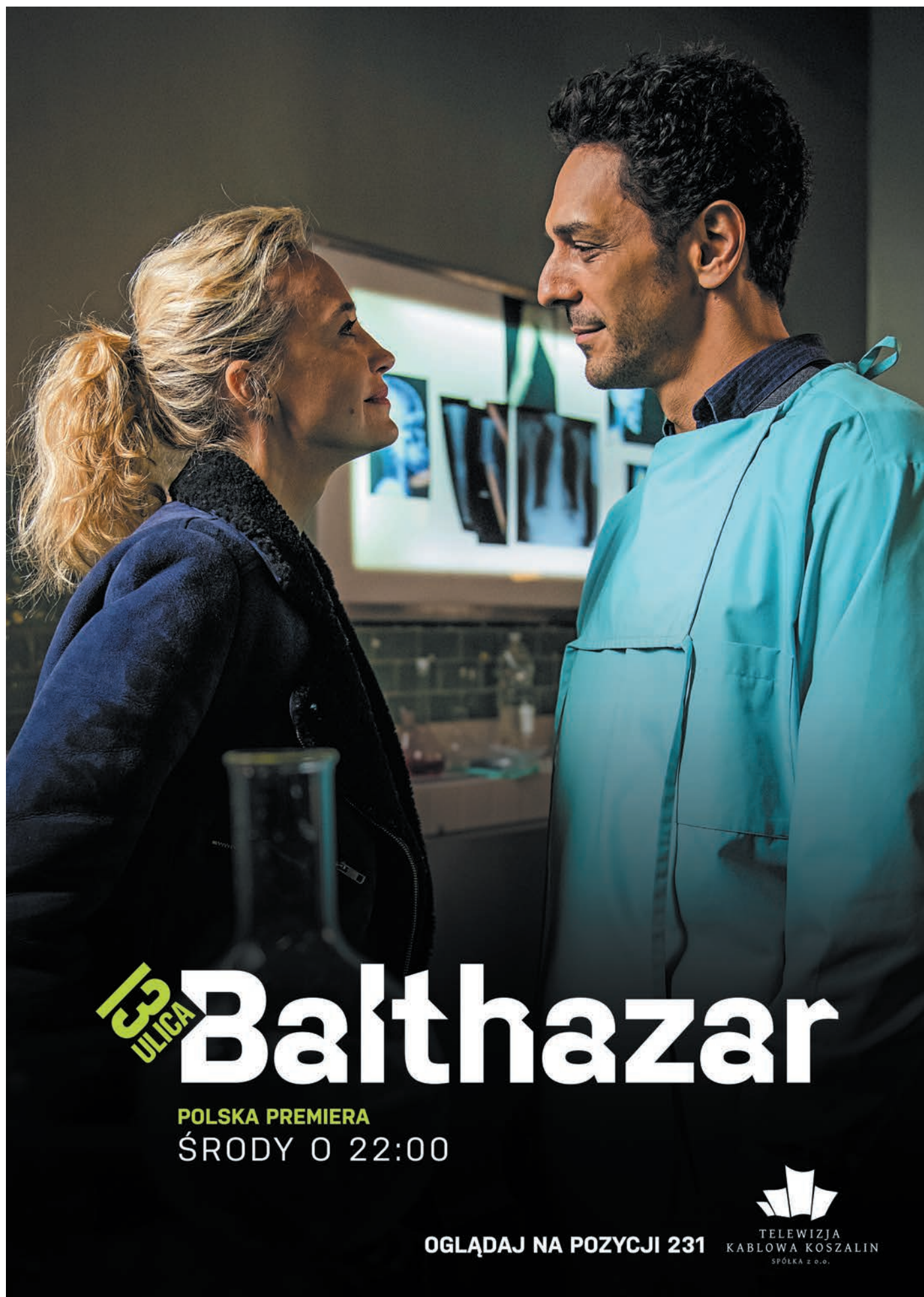
ROK JUBILEUSZOWY

Dziś w chorze „Kanon” śpiewa 18 utalentowanych pań, mieszanek Cewlina, Rosnowa, Wyszewa, Kretomina, Świeszyna i Koszalina. Są wśród nich przedstawicielki służby zdrowia, urzędniczek, emerytek, rolniczki, rehabilitantka, pracowniczka poczty. W zespole śpiewa również reprezentująca straż graniczną córka pani Katarzyny, której utalentowana mama przekazała swoją muzyczną pasję.

Chórzystki wciąż doskonalą swój wokalny warsztat i poszerzają repertuar. Obecnie jest tak bogaty, że panie postanowiły występować w dwóch zróżnicowanych scenicznie i reperturowo odsłonach. Jako „Kanonki”, odziane w ludowe stroje z nieodzownymi kolorowymi spódnicami, chusteczkami i wianuszkami, z temperamentem śpiewają utwory folklorystyczne. Odmienny wizerunek sceniczny prezentuje „Kanon”. Podczas koncertów obowiązuje elegancka czerń rozjaśniona pastelowymi szalami, a pełna gala – złociste spódnice i czarne bluzeczki – prezentowana jest podczas występów festiwalowych i konkursowych.

– Ten rok jest dla nas czasem szczególnym – mówi Katarzyna Żerdzicka-Jasioneł. – Ciężko pracujemy, przygotowując obchody naszego jubileuszu. 15-lecie swojej artystycznej działalności chciałybyśmy również uczcić udziałem w prestiżowym festiwalu pieśni chóralskiej we Wrocławiu. A to naprawdę duże wyzwanie, wymagające przygotowania odpowiedniego repertuaru i wielu prób w celu uzyskania jednolitego brzmienia. Mam nadzieję, że zostaniemy zakwalifikowane i – kto wie? – może znowu uda nam się zdobyć kolejne trofeum? Byłoby wspaniale! ■





13 ULICA **Balthazar**

POLSKA PREMIERA
ŚRODY O 22:00

OGLĄDAJ NA POZYCJI 231


TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA Z O.O.

CZUJĘ SIĘ TWÓRCZO WOLNA



Monika Delik to początkująca artystka, ale jednocześnie fenomenalnie zdolna. Jej kolaże zachwycają, skradają serce i skłaniają do głębszej refleksji. Ta młoda artystka ma w swoim dorobku artystycznym m.in. dwie wystawy: pierwsza odbyła się w koszalińskich „Powidokach” w sierpniu 2021 roku, a druga w jej rodzinnym Ińsku w galerii O.Mega, zaprojektowanie plakatu 49. edycji festiwalu „Ińskie Lato Filmowe” i wygraną główną nagrodę w kategorii „Grafika komputerowa 18+” za plakat „Wiosna” na II Międzynarodowym Triennale Grafiki w Cieszynie 2021. I zajęła III miejsce w konkursie LPP na grafikę na koszulkę w temacie „New optimism”.

Tekst: Monika Kwaśniewska

Zdjęcia: archiwum prywatne

Kiedy odkryłaś w sobie pasję do sztuki?

– Sztuka otaczała mnie od dziecka, mam dość muzykalną rodzinę, jednak jeśli chodzi o plastykę, to mój ojciec chrzestny i ja jesteśmy w rodzinie wyjątkami. Gdy byłam mała, to śmiałyśmy się, że talent odziedziczyłam po nim, jednak najbardziej prawdopodobną teorią jest to, że uzdolniona jestem po moim pradziadku, który, co prawda, nie miał nic wspólnego ze sztuką, ale był uzdolniony manualnie. Z rysunkiem, malowaniem jestem związana od zawsze. Rodzice opowiadali mi, że jak byłam mała, to wystarczyło dać mi kredki i kartkę, i potrafiłam sama się sobą zająć. Odkąd pamiętam ta pasja jest i była ze mną. Jak byłam młodsza, to chętnie chodziłam na kółko plastyczne, później zdecydowałam się pójść w tym kierunku dalej i wybrałam się na studia artystyczne.

Co czujesz, kiedy tworzysz swoje dzieła?

– Dzięki sztuce mogę pokazać rzeczy, o których nie zawsze wiem, jak mówić. Daje mi to poczucie takiej wolności twórczej. Jednocześnie czuję dużą satysfakcję tworząc kolaże – bo po raz pierwszy, kiedy skończę pracę, to jestem z niej zadowolona. I też o wiele łatwiej jest mi ją zakończyć niż w przypadku innych technik.

A dlaczego zdecydowałaś się na kolaż? Kiedy po raz pierwszy zacząłaś je tworzyć?

– Wszystko zaczęło się od nagłówków, które tworzyłam jeszcze w gimnazjum, na blogi. Z czasem zaczęłam je robić również dla innych i odkryłam stronę DeviantArt, na którą wrzucałam swoją twórczość. W międzyczasie zaczęłam tworzyć kompozycje z róż-



DR HOUSE

**GREY'S
ANATOMY:
CHIRURDZY**

**GOTOWE
NA WSZYSTKO**

**CZAS NA
FOX
RELAKS**

**PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK
14:40**



nych zdjęć. Wtedy nie wiedziałam, co to dokładnie jest – dziś już wiem, że były to kolaże, pierwsze w moim życiu. Później poszłam do liceum – i na długi czas zapomniałam o swoim hobby i przyjemności, jaką odczuwałam z robienia kolaży. Na studiach również nie miałam czasu na powrót do tej pasji. Było to spowodowane tym, że moje kreatywne myśli szły na prace, które musiałam stworzyć na zajęcia. I w pewnym momencie wybuchła pandemia. Zaczęłam pracować zdalnie, miałam więcej czasu wolnego i chciałam go dobrze spożytkować. Przypomniałam sobie, ile radości dawało mi tworzenie kolaży. Poszukałam w internecie konkursów, w których mogłabym wziąć udział, i tak znalazłam konkurs na plakat ze zbiorów archiwalnych europejskich muzeów. Stworzyłam plakat i pokazałam go mojej znajomej, która powiedziała, że powinnam tworzyć takich więcej. Po tym przyszedł kolejny konkurs, a ja stworzyłam kolaż, który dziś traktuję jako ten pierwszy, od którego wszystko się zaczęło – „Kolektyw”. Później pojawił się konkurs, który organizowała marka LPP (właściciel m.in Reserved). Wzięłam w nim udział, mój kolaż się spodobał i zdobył trzecią nagrodę. Koszulka z moją grafiką była sprzedawana w sklepach, a wygrana była dla mnie motywacją do założenia konta na Instagramie i dalszego rozwoju w tym kierunku. A dlaczego kolaż? Ta technika daje mi po prostu wolność twórczą.

A jak wygląda twój proces twórczy?

– Na samym początku pojawia się pomysł w mojej głowie. A później działam w programie Photoshop. I to jest taki standard. U mnie dużo zależy od tego, skąd się wzięł pomysł, bo są trzy drogi: czasem pojawia się w mojej głowie po prostu słowo czy idea, tak było w przypadku kolażu „Wiosna”. Od razu wie-

działam, jaki jest mój zamysł – a był prosty, ponieważ chciałam pokazać, jak ja odbieram tę porę roku. Jak ją widzę, czuję. Wtedy miałam z góry określony cel i szukałam do niego materiałów. I tak to powstało. Ale czasem wygląda to też tak, że przeszukuję sobie źródła (z których legalnie mogę korzystać) i czasami zainteresuje mnie jedno zdjęcie i buduję kompozycję, dobierając do niego pozostałe. W trakcie oczywiście wrzucam, wyrzucam jakieś zdjęcia, zmienia mi się koncepcja. Bywa też tak, że początkowy obraz, który był inspiracją do powstania kolażu, ostatecznie nie znajduje się w pracy – i to jest ta druga droga. A trzecią jest, co może wydać się śmieszne, ale często inspiracją jest połączenie kolorystyczne. Często z góry wiem, jakie kolory chcę zawrzeć w swoim kolażu i od tego zaczynam. Później do tych połączeń dobieram zdjęcia. Często moje kolorystyczne inspiracje pochodzą z wnętrza, co może być powiązane z moim wykształceniem, ponieważ jestem architektem wewnątrz.

Czy masz w swojej kolekcji jakiś swój ulubiony kolaż?

– Moim ulubionym jest „Kreatorka”. Mam wrażenie, że ten kolaż najbardziej pasuje do mnie. Nie tworzyłam go z myślą o sobie, ale kiedy już zobaczyłam go finalnie to od razu pomyślałam, że jest mi bliski. To jest (na ten moment) jedyny kolaż (mój), który zawiśnie w moim mieszkaniu. Na razie stoi na podłodze, ale mam nadzieję, że już niedługo w końcu znajdzie się na mojej ścianie. Nie każdy kolaż lubię tak samo, ale wydaje mi się to naturalne. Oczywiście, nie opublikuję pracy, która mi się nie podoba, ale nie każda jest tą wyjątkową. Niedawno stworzyłam kolaż „Zima” i też muszę powiedzieć, że również wysoko się plasuje. ■

P O M O R S K I E SKŁADY DREWNA



Drzwi i podłogi

VOX

Pomorskie Składy Drewna oferują m.in.:

- Drewno konstrukcyjne C24
- Drewno KVH
- Drewno budowlane
- Boazerie
- Podbitki
- Taras modrzewiowy i sosnowy
- Płyty OSB, MFP, wiórowe, meblowe
- Sklejki liściaste i iglaste
- Sklejki szalunkowe
- Listwy drewniane
- Schody i stopnie schodowe
- Błaty klejone dąb, buk, sosna
- Podłogi drewniane
- Barlineckie deski podłogowe
- Panele podłogowe
- Drzwi wewnętrzne i zewnętrzne
- Impregnaty Koopmans
- Usługa cięcia i transportu

Koszalin, ul. Bohaterów Warszawy 5 • tel. 94 343 20 10

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 8.00-16.00, sobota 8.00-14.00

MUZEA TO ARCHIWA CZASU, W KTÓRYCH OTWIERA SIĘ KSIĘGĘ PRZESZŁOŚCI

W wieku 83 lat obronił doktorat na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, całe swoje życie poświęcił archeologii i trosce o historię naszego regionu. Najstarszy doktorant przez lata był kierownikiem Działu Archeologicznego Muzeum w Koszalinie. Jest postacią cenioną i poważaną w środowisku badaczy dziejów Pomorza Zachodniego. Z dr. Ignacym Skrzypkiem w jego domowym gabinecie, w towarzystwie setek książek i prac na temat historii Pomorza Zachodniego, rozmawiamy o pasji, wytrwałości i nieustającej ciekawości świata.

Tekst: Marcelina Marciniak

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum prywatne

Od pana obrony doktoratu minęło już trochę czasu, jak się pan czuje?

– Pierwszy raz w życiu broniłem doktorat (śmiech). To był dla mnie i mojej rodziny bardzo intensywny i szalony czas. Teraz już emocje powoli opadają, jest spokojniej. Myślę, że nie stresowałem się tą całą sytuacją za bardzo, jednak była ona dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Dopinanie rozprawy, egzaminy, później publiczna obrona doktoratu to duże przeżycia. Cieszę się, że zdrowie mi dopisało. Podczas tej przygody na swojej drodze spotkałem bardzo serdecznych mi ludzi, którzy bardzo ciepło i entuzjastycznie przyjmowali to, co robię. Zarówno wśród pracowników uczelni, swoich recenzentów, promotora miałem ogromne wsparcie i to ono mobilizowało mnie do działania. Teraz przyszedł czas, by z całej mojej pracy powstała książka i na tym obecnie się skupiam.

„Dzieje muzealnictwa na Pomorzu Zachodnim do roku 1945” to temat pana pracy doktorskiej. Jak to się stało, że się pan nim zajął?

– Tak wyszło, po prostu. To było naturalne następstwo tego, czym zajmowałem się zawodowo. Z wykształcenia jestem archeologiem, całe swoje życie poświęciłem muzealnictwu, które jest moją pasją. Przez te wszystkie lata pracowałem w koszalińskim muzeum, ale i brałem udział w projektach oraz badaniach w muzeach na terenie naszego regionu. Tak konkretnie nad tym tematem zacząłem pracować już w latach 90. W 1997 roku napisałem dzieje muzealnictwa na Pomorzu Środkowym. Wtedy muzeów regionalnych, o których pisałem, było ponad 30, to były muzea powiatowe, miejskie, szkolne, kościelne, a także

izby muzealne. Cześć z nich jest do dziś, bo odzyskała swoje siedziby po 1945 roku, natomiast większość zniknęła z mapy muzealnictwa. Dlatego rozpocząłem zbieranie materiałów, żeby zbadać i zachować pamięć o tych miejscach. Dokumenty zbierałem m.in. w Muzeum Narodowym w Szczecinie, w Archiwum Państwowym w Szczecinie, w Koszalinie, w Słupsku oraz w archiwach w poszczególnych muzeach. Zebrałem tyle materiału, że doszedłem do wniosku, że pozwoli mi to stworzyć większą pracę na ten temat. Wtedy moim materiałem zainteresował się profesor z Poznania i on namówił mnie do tego, żeby otworzyć przewód doktorski. Zgodziłem się. Zebrałem potrzebną bibliografię, wcześniej już publikowałem artykuły na temat muzealnictwa i zacząłem się skupiać na pisaniu rozprawy. Później różne sytuacje losowe sprawiły, że ten doktorat zaczął się wydłużać w czasie. Było w tym także sporo mojej winy, bo skupiałem się bardziej na pisaniu publikacji niż śledzeniu dalszego etapu wykorzystania moich już zebranych materiałów i tak odłożyłem trochę na bok ten doktorat. Myśl wróciła w 2021 roku.

Jak wyglądał powrót do pracy nad doktoratem?

– Dwa lata temu pojechałem na Wydział Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zorientować się, czy jest jeszcze możliwość kontynuować ten mój przewód doktorski. Spotkałem się z bardzo pozytywnym i serdecznym odbiorem. Cała procedura została wszczęta na nowo.

Wtedy zacząłem ten już zebrany materiał oraz nowy, przygotowywać oraz uzupełnić pod kątem pracy doktorskiej. Z tych materiałów powstała rozprawa na blisko 700 stron oraz 200 pu-



blikacji. W międzyczasie przygotowywałem się również do egzaminów. Obronie przewodniczył prof. Przemysław Matusik. Przebiegła ona w bardzo serdecznej atmosferze. Towarzyszyła mi rodzina, żona, dzieci, wnuki. I tak to się bardzo szczęśliwie dla mnie skończyło.

Czuje pan satysfakcję?

– Tak. Czuje satysfakcję, ponieważ udowodniłem sobie, że potrafię to osiągnąć, zawalczyć o stopień naukowy. Dzięki wysiłkowi, rzetelnej pracy, to, co udało się zebrać, nie trafiło na dno szuflady. Nie był to łatwy do osiągnięcia cel, o czym może świad-

czyć czas. Na swojej drodze napotykałem przeciwności, trzy razy zmieniał się promotor mojego doktoratu, były momenty, że ztracałem się w swoich badaniach. Jednak udało mi się i jestem tym bardziej szczęśliwy, że mimo jakiś kłopotów udało się.

Można powiedzieć, że całe pana życie zawodowe to zbieranie materiału do pracy doktorskiej.

– Tak. W trakcie zbierania, opracowywania tych materiałów wciąż wychodziły nowe fakty, nowe ciekawostki, których nie mogłem pominąć. Im więcej materiałów zbierałem, tym większa ciekawość się we mnie rodziła.

Temat, którym pan się zajął, obecnie jest na czasie. Coraz więcej mieszkańców interesuje się swoją „małą ojczyzną”, dba o kulturę swojego regionu, wraca do korzeni.

– Nikt nigdy wcześniej nie zajmował się opracowaniem tego tematu w naszym regionie. Tak było od samego początku moich badań. Dlatego było to dla mnie dość trudne, bo musiałem szlaki wytyczać na nowo, nie mogłem bazować na pracy i dokonaniach innych. Pamiętam, jak w latach 90. pisywałem artykuły dotyczące regionalnych muzeów do m.in. tygodnika „Miasto” oraz do naszych koszalińskich zeszytów muzealnych. Przecierałem szlaki swoimi badaniami, bazowałem na niemieckiej literaturze, niemieckich gazetach, kalendarzach. Każde muzeum to archiwum czasu. To miejsce, gdzie zbiory świadczą o kolejnych dziejach pokoleń, które były przed nami. Tam, gdzie są zbiory muzealne, tam muzealnicy opracowują poszczególne dzieje regionu, miasta czy dane obszaru. Na podstawie zabytków, które są martwe w momencie ich odnalezienia, to poprzez ich opracowanie one nabierają życia. Wtedy stają się świadectwem przeszłości, którą trzeba zrekonstruować pod kątem różnych dziedzin – czy to arche-



ologii, etnografii, sztuki, czy rzemiosła. Dlatego muzeum jest tak ważną instytucją, bo jest miejscem, w którym muzealnicy otwierają księgę z przeszłości. Teraz faktycznie zauważyłem, że jest trend, że w miastach i małych miejscowościach powstają muzea czy izby muzealne, w których często możemy znaleźć już historię powojenną. Są także muzea tematyczne np. czasów PRL-u, muzyki, techniki, nauki. Jednak po wojnie, niestety, dla muzeów regionalnych na tych ziemiach to nie był dobry czas, ponieważ były one głównie niemieckie. Brakowało specjalistów, było też odgórne zarządzenie od ówczesnego ministra kultury, by o tym, co niemieckie, zapominać i nie rekonstruować tych zbiorów. Dla naszego regionu była to duża strata. A przecież zbiory muzealne nie są zależne od ideologii, polityki. Wszędzie dopiero człowiek nadaje im jakiś sens, kontekst i życie. Buduje wokół nich historię, a zabytki zawsze były zawsze świadectwem tej ziemi, ludzi tutaj mieszkających.

Czy gdyby nie pasja, to ten doktorat by powstał?

– To, że jestem archeologiem bardzo dużo mi przy tej pracy nad doktoratem pomogło. Wiedziałem, jak szukać materiałów, źródeł, jak opracowywać to, co udało mi się zebrać. Kiedy natrafiałem na coraz ciekawsze materiały w starych archiwach czy niemieckich publikacjach, to pojawiała się jeszcze większa ciekawość. Ta ciekawość pchała mnie do przodu. Chciałem po prostu wyjaśnić, dowiedzieć się i zrozumieć ludzi, którzy tworzyli te ziemie. Jakie tu były tradycje, ludność, czym się zajmowano, jaka była technika, rolnictwo, ubiory. Chciałem poznać każdą sferę życia. Były i są regiony bardzo charakterystyczne i osobliwe na naszych ziemiach np. ziemia pyrzycka, lęborska, bytowska, jamneńska czy wokół jezior w okolicach Słupska. Ciekawość tych różnic była dla mnie pasjonująca. Dlatego dążyłem do skutku, dopiero wtedy czułem, że to, co robię, ma sens. Jest to ta tak zwana „mała ojczyzna” i każde pokolenia chciały wiedzieć o swoim terenie, jak najwięcej.

Co pan teraz planuje?

– Obecnie skupiam się na pisaniu książki na podstawie mojej rozprawy. Chcę ją jak najszybciej przygotować i wydać do druku. Poza tym mam ogromne zaległości przez poświęcenie się wyłącznie doktoratowi (śmiech). Jestem archeologiem i mam jeszcze do nadrobienia i opracowania kilka stanowisk archeologicznych i teraz na tym będę się koncentrował. ■





TIKAL – PERŁA MAJAŃSKICH MIAST

Z trzech wielkich cywilizacji Ameryki jedynie Majowie zdolali przetrwać pierwszy impet inwazji hiszpańskich konkwistadorów. Aztekowie i Inkowie po kilku latach walk ulegli całkowitej zagładzie, a Majowie jeszcze sto lat byli w stanie walczyć o swoją wolność i zachowanie kultury. Choć i tak daremnie. Ostatnie niepodległe majańskie miasto Nojpeten zostało zdobyte przez Hiszpanów w 1697 roku. Przybycie Europejczyków na obszar Ameryki Środkowej nastąpiło w czasie, gdy Majowie okres największego rozkwitu ich cywilizacji mieli już za sobą. Ale i tak ich osiągnięcia, jakie zastali po swym przybyciu Hiszpanie, zdumiewały zdobywców. A przecież nie mogli wiedzieć, jak wyglądały majańskie miasta z okresu ich największego rozkwitu, bowiem aglomeracje te były już opuszczone od setek lat i całkowicie porośnięte dżunglą.

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

Do dziś trwają naukowe debaty, co spowodowało prawie całkowitą zapaść cywilizacji Majów w IX wieku naszej ery, choć niektóre hipotezy są całkiem przekonujące, ale do tego jeszcze wrócimy. Majowie stworzyli jedyną w pełni rozwiniętą cywilizację Ameryki, przynajmniej pod względem europejskich definicji. W każdym razie tylko Majowie wynaleźli całkowicie rozwinięty system pisma na tym kontynencie, który zachował się na wielu kamiennych inskrypcjach. Istniały również tak zwane kodeksy, czyli składane jak harmonijka skrypty pisane na pokrytej woskiem korze, ale prawie wszystkie zniszczone zostały przez Hiszpanów. W ten sposób zamordowana została zbiorcza pamięć narodu majańskiego. Z tysięcy bajecznie kolorowych kodeksów

zachowały się tylko cztery. Całe szczęście, że kamienne inskrypcje ocalały. Zapewne dlatego, że były wykute na murach świątyń pokrytych bujną, tropikalną zielenią.

WIELCY ARCHITEKCI

Majowie byli wielkimi budowniczymi wielkich miast. Największych na kontynencie, a co kilka lat archeolodzy odkrywają kolejne, zapomniane ruiny. Skala architektonicznych przedsięwzięć tego ludu jest zadziwiająca. I najprawdopodobniej przyczyniła się do zagłady tej cywilizacji.

Perłą miast Majów jest słynne Tikal, położone na gwatemalskim obszarze departamentu Peten. Pierwsza naukowa ekspe-

dycja dotarła do Tikal w 1848 roku, zastając na miejscu gęstą pokrywę roślinności, sponad której gdzieś wystawały obrobione bloki kamienne. Patrząc na stare fotografie ruin Tikal, można wyobrazić sobie, że niedoświadczony archeolog mógłby przejść obok nich, nawet nie zdając sobie sprawy, że mija ruiny miasta, które liczyło sobie niegdyś 60 tysięcy mieszkańców. Całe stulecie zajęło, aby odsłonić choćby tylko centrum tej aglomeracji, w której dumnie wznoszą się słynne piramidy. Zdziwiające jest, że wynalazek piramidy, a więc w zasadzie wyjątkowo niepraktycznej budowli, służącej bardziej prestiżowi fundatora niż społeczeństwu, był tak na świecie powszechny. I to nie tylko w Egipcie, a i w starożytnym Sumerze powstawały zigguraty, w Europie wznoszono kopce. Majowie mieli na tym punkcie prawdziwą obsesję. Naród ten nigdy nie stworzył jednorodnego państwa, i pomimo jedności kulturowej był podzielony na szeregi miast-państw, podobnie jak to miało miejsce na przykład w starożytnej Grecji okresu klasycznego. Miasta te albo współpracowały ze sobą tworząc koalicje, albo walczyły, a zawsze konkurowały pod względem wielkości budowli reprezentacyjnych. A Tikal jest tego spektakularnym przykładem.

ZBADANE RADAREM

Pośrodku miasta znajduje się plac ceremonialny oflankowany wzdłuż dłuższej osi dwoma piramidami. Nie są podobne do tych z Egiptu, bowiem są schodkowe, bardzo wysmukłe i z niewielką świątynią na szczytach. Po obu stronach krótszej osi rozlokowały się centra ceremonialne i pałace władców. Dopiero w ostat-

nich latach naukowcy zdali sobie sprawę z wielkości miasta, gdy użyto bardzo nowoczesnego radaru o nazwie Lidar. Urządzenie emituje fale elektromagnetyczne, które są w stanie przedrzeć się przez gęstą baldachim drzew i dotrzeć do struktur podziemnych. Wyniki wręcz poraziły badaczy, odsłaniając zupełnie nieznane wcześniej kompleksy kolejnych budowli. Wszystkie miały charakter ceremonialny, a nie mieszkalny. Zwykli Majowie żyli w lepiankach pokrytych strzechą, a więc Tikal nie było miastem w europejskim pojęciu. To była w zasadzie ogromna wioska po daleki horyzont, gdzie sponad strzech wzbijały się ku niebu kolejne piramidy. Krajobraz ówczesny był zupełnie inny, niż ten, który zastaje tu przybywający turysta. Dziś po horyzont rozciąga się zielona dżungla, sponad której wystaje parę białych piramid.

Niegdyś budowle były tynkowane i pomalowane na czerwony kolor, a drzew nigdzie nie było, bowiem zostały wycięte nie tylko pod uprawy, ale również w celach budowlanych. Nie budowano z drewna, ale drewno wykorzystywano do palenia wapna, z którego wykonywano tynki. Majowie w obsesji konstrukcyjnej dokonali zagłady okolicznych lasów, co spowodowało katastrofalną erozję gleby i upadek rolnictwa.

DLACZEGO ODESZLI?

Miasta majańskie wzniesione w okresie tak zwanym klasycznym, czyli w czasowej przestrzeni od 300-900 roku naszej ery, zostały opuszczone pod koniec X wieku. Nie w wyniku wojen czy jakiejś ewidentnej katastrofy, a po prostu opuszczone. Nie znaleziono żadnych ofiar przemocy, nie znaleziono masowych





grobow. Mieszkańcy miast, w tym i Tikal, spakowali dobytek i udali się w nieznaną. Do dziś nie wiadomo, gdzie podziały się wtedy miliony uciekinierów. Katastrofa ekologiczna jest tylko jedną z hipotez, mniej lub bardziej wiarygodnych. Na miejscu pozostali tylko królowie pochowani w swoich grobowcach zdobionych zielonym jadeitem. Majowie nie znali złota, choć występowało na terenach na południe od ojczyzny Majów, czyli na obszarze dzisiejszych państw Meksyku, Hondurasu, Gwatemali, Salwadoru i Belize. A bardziej prawdopodobnie, że znali, ale nie cenili. Podobna sytuacja była przez wieki w Chinach, gdzie bardziej ceniono nefryt niż srebro czy złoto. W królewskich grobowcach najbardziej charakterystyczne są przepiękne maski wykonane z jadeitu nakładane na twarze zmarłych królów. Może dlatego nie zostały obrabowane przez hiszpańskich konkwistadorów, którzy ponad wszystko cenili złoto?

ŚWIĘTE DRZEWO I TURYSĆI

Jedną z prawdziwych ozdób Tikal, tym razem przyrodniczych, jest święte drzewo ceiba. Monumentalne, wręcz bajkowe, było świętym drzewem Majów. Ceiba ma wyraźne trzy poziomy: rozbudowane korzenie podporowe, widoczne również na powierzchni, które reprezentowały świat podziemny, potężny, prosty pień bez odgałęzień, który symbolizował świat doczesny, oraz ogromną koronę, która była niebem. Majowie wierzyli, że ich królowie wspinali się do nieba po ceibie. Może dlatego przetrwały masową wycinkę lasów na materiał konstrukcyjny. Tikal jest jednym z głównych miast majańskich,

które odwiedzane są przez rzesze turystów z całego świata. Mniej znane i popularne są Copan i Palenque. Równie słynne jest meksykańskie Chichen Itza, choć pochodzi z okresu o wiele późniejszego. Najprawdopodobniej Majowie opuszczający swoje miasta znaleźli życiową przystań na półwyspie Jukatan, gdzie znajduje się Chichen Itza. Odrodzili się, a wkrótce po tym przybyli Hiszpanie, którzy mieczem i krzyżem dokonali zagłady majańskiej cywilizacji. Co roku dokonywane są nowe odkrycia archeologiczne ukazujące wspaniałość tej zniszczonej kultury. Odkrywane są zaawansowane systemy kanalizacyjne doprowadzające wodę do miasta, zbiorniki na wodę deszczową oraz znakomitą sieć dróg liczącą setki kilometrów. Trudno uwierzyć, że te wszystkie miasta i infrastruktura zostały zbudowane za pomocą rąk uzbrojonych w kamienne narzędzia. Majowie nie znali koła ani zwierząt pociągowych. Nie posługiwali się metalem, bo go nie znali. W sensie technologicznym lud ten znajdował się w zasadzie na poziomie europejskiej epoki kamiennej! A przecież dokonał zdumiewających osiągnięć cywilizacyjnych i naukowych.

Majowie znakomicie znali się na astronomii i matematyce. Jako pierwsi w dziejach zastosowali pozycyjny system zapisu i wynaleźli cyfrę zero, która jest podstawą zapisu pozycyjnego. Ale, niestety, nie wynaleźli zabójczej broni z metalu, nie uodpornili się na europejskie choroby i byli bezbronni wobec hiszpańskiej nawały. Odeszli w niepamięć, jak i ich piramidy. Dopiero XX wiek przywrócił tę wspaniałą cywilizację na jej należne w historii ludzkości miejsce. ■

DZIEWCZYNA ANIMACJI

Rysuje, odkąd nauczyła się trzymać w ręku ołówek. Kilka lat temu ukończyła Wydział Architektury i Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, a dziś pracuje przy największych produkcjach filmowych na świecie. Współtworzyła postaci Supermana i Aquamana w filmie „Liga Sprawiedliwości” Zacka Snydera. W niedawnym megahicie „Avatar: Istota wody” Jamesa Camerona pracowała przy tworzeniu animacji twarzy postaci zamieszkujących Pandorę. Z Izabelą Poznańską, graficzką, która trafiła do Hollywood, rozmawiamy o pasji i wytrwałości w pogoni za marzeniami.

Tekst: Marcelina Marciniak
Zdjęcia: Archiwum prywatne

Jak zaczęła się pani przygoda z animacją?

– Dorastałam w czasach, gdy efekty specjalne i gry dopiero raczkowały. Od dziecka miałam obsesję na punkcie rysowania. Odkąd potrafiłam utrzymać ołówek, to rysowałam najpierw coś na kształt komiksów, a potem nawet kopiowałam obrazy ze ścian w domu. Byłam zafascynowana „Czarodziejką z Księżyca” i całe wakacje zaszywałam się gdzieś i szkicowałam bez końca. Inne zainteresowania i rozrywki przestały się liczyć. Jak rysowałam, to nawet nie słyszałam, kiedy mama do mnie mówiła – aż zaczęła się martwić, że coś ze mną nie tak (śmiech). Gdy miałam jakieś 12 lat dostaliśmy z rodzeństwem pierwszy komputer i wtedy nowa obsesja zawitała w moim życiu (śmiech). Brat uruchomił grę „Tomb Raider” i wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że chcę to robić. Najpierw uczyłam się programów do grafiki 2D, obrabiając zdjęcia, przerabiając zdjęcia moich bliskich w jakieś upiorne czy fantasy ilustracje. To pozwoliło mi złapać na studiach pierwszą pracę przy projektowaniu kubków, kalendarzy i plakatów. Kiedy znalazłam ogłoszenie pracy do polskiej firmy robiącej gry, od razu złożyłam CV i mnie odrzucili, ale napisali, że jeśli nauczę się robić tzw. tekstury dla modeli 3D, to żebym spróbowała jeszcze raz. W miesięczniku o grach trafiłam akurat na artykuł o robieniu tekstur i na płycie CD były przykładowe trzy tekstury twarzy. Ściągnęłam je, podczytałam się, przerobiłam na własne twarze i po trzech dniach wysłałam jeszcze raz swoje CV do tej firmy... i mnie przyjęli! Tak zaczęłam przygodę z robieniem gier. Później w pracy podglądałam kolegów, którzy robili modele 3D i postanowiłam w domu się tego nauczyć. Zakochałam się w programach do rzeźbienia w 3D. Strasznie mnie to nakręcało, że mogę stworzyć postać, która będzie się ruszać i żyć.

Jak to się stało, że trafiła pani do branży filmowej?

– Kolejne lata to intensywny rozwój, zaczęłam koncentrować się na twarzach, ich proporcjach i detalach. W każdej wolnej chwili rozwijałam umiejętności, postępy prac publikowałam w internecie i powoli zaczęły sypać się zlecenia. Podczas pracy nad grą „Zaginiecie Ethana Cartera” wspólnie z przyszłym mężem zaczęliśmy rozgryzać praktycznie nieznana w Polsce i raczkującą na świecie technologię skanowania elementów otoczenia i ludzi. Ta gra otrzy-

mała pierwszą nagrodę Bafta dla polskich twórców gier. Później nasz pierwszy w Polsce tzw. rig do skanowania twarzy i rozwijane dalej umiejętności pozwoliły mi stworzyć cyfrowe twarze aktorów do czołówki Zimowych Igrzysk Olimpijskich w 2014 roku dla brytyjskiej telewizji. Ta czołówka również zdobyła nagrodę Bafta. Potem szereg coraz większych i ciekawszych zleceń, np. stworzenie statuetki na zlecenie pewnej Agencji Wywiadowczej, aż w końcu pierwsza propozycja pracy przy wysokobudżetowym filmie „Justice League” („Liga Sprawiedliwości”) Zacka Snydera. Czyli swoją przygodę z „dużym Hollywood” zaczęłam od razu od współtworzenia cyfrowego Supermana (Henry Cavill) i Aquamana (Jason Momoa). Po tym filmie posypały się już propozycje z całego świata. Natomiast ja uparłam się, że jeśli już wejdę, to dla najlepszej firmy na świecie (śmiech), więc złożyłam aplikację do takowej i czekałam na odpowiedź. Nie do końca wierzyłam, że się uda, bo ich dział mimiki twarzy to bardzo mały, elitarny zespół, może 12 osób maksymalnie. Więc to taka grupa najlepszych z najlepszych. Ponadto, ludzie z całego świata próbowali się tam dostać, więc OK, wiedziałam, że jestem dobra, ale no bez przesady (śmiech). W międzyczasie oczywiście szlifowałam umiejętności i starałam się robić coraz lepsze twarze. Aż w końcu odpisali! To był rok 2019. Decyzję o wyjeździe podjęłam w ciągu dwóch godzin.

Pracowała pani zarówno przy tworzeniu gier, jak i filmów – co przynosi pani najwięcej satysfakcji? W czym czuje się pani najlepiej?

– Największą satysfakcję czuję, gdy pracuję przy produkcjach zawierających elementy grozy, jak horrory, thrillery czy science fiction, nie ważne, czy jest to film czy gra. Od dziecka ciągnęło mnie w mroczną stronę i paradoksalnie tam czuję się też jak w domu (śmiech).

Jak się pracuje przy takim filmie jak „Avatar”? Ile trwają takie prace, jaka była pani rola?

– Praca nad filmami przynosi wiele wyzwań i satysfakcji. Pamiętam np. Jason Momoa został zeskanowany z ikoniczną gestą brodą. Musiałam cyfrowo „ogolić” jego twarz, czyli wyobrazić sobie, jak wygląda jego prawdziwa mimika pod tą szczecinią i wy-





rzeźbić wszystkie ekspresje twarzy bez zarostu tylko po to, aby „wyhodowany” później cyfrowy zarost ruszał się realistycznie z mimiką. Przy „Avatarze” głównym wyzwaniem była precyzja, idealne kształty zmarszczeń, musiało być to naprawdę perfekcyjne, poznałam w tej pracy czym naprawdę jest perfekcja, ponieważ już nie mogłam sobie pozwolić na niedociągnięcia. Twarz musiała dokładnie marszczyć się i ruszać jak twarz prawdziwego aktora.

Do mnie trafiały cyfrowe modele już zeskanowanych aktorów, masa zdjęć i oczywiście nagrania ich gry z planu filmowego (z miniatury kamerki zamontowanej na kasku, tuż przed ich twarzami). Na podstawie tych danych tworzyłam obłędnie szczegółowe cyfrowe „rzeźby/modely 3D” każdej możliwej ekspresji twarzy każdego aktora. Później na tej podstawie tworzyliśmy ich odpowiedniki o ogromnych oczach, długich spłaszczonych nosach i innych cechach charakterystycznych filmowej rasy Na'vi zamieszkującej Pandorę. To tak w skrócie, tyle mogę powiedzieć. Jeśli chodzi o czasochłonność, to jest to naprawdę różnie. Zależy to od firmy, czy ma już wypracowany system, narzędzia i plan

działania czy może – tak jak w przypadku „Avatara” – trzeba było stworzyć plan działania od nowa (jeśli chodzi o twarze).

Czy animacja jest przyszłością kina, która już się dzieje? Jak pani myśli?

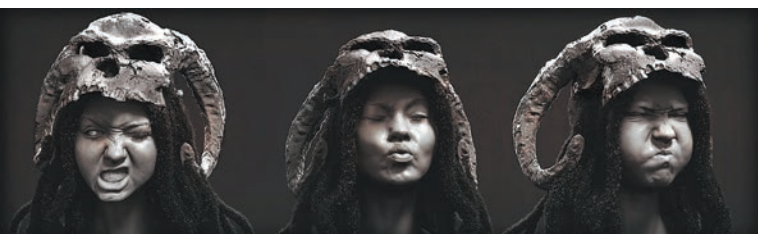
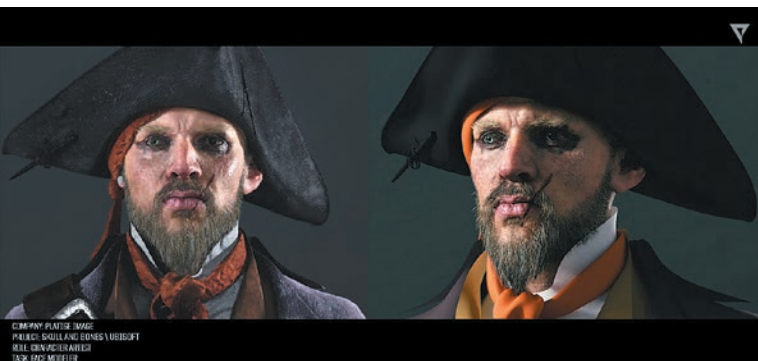
– Nie sądzę, aby animacja wyparła tradycyjną kinematografię, ale w miarę rozwoju technologii będzie coraz chętniej wykorzystywanym narzędziem i formą przekazu. Grafika komputerowa daje twórcom zupełnie nowe możliwości. Wystarczy wyobrazić sobie reżysera, który nie jest skazany na ujęcie kamery, które nagrał na planie zdjęciowym, bo cyfrową scenę z komputerowych aktorów może nieskończoną ilość razy „nakręcić” z nowego ujęcia, nawet całkowicie nieosiągalnego tradycyjnymi technikami filmowymi, np. oczami latającej muchy.

Jakie plany na przyszłość?

– W dotarciu na szczyt najfajniejsze jest dotarcie tam i pocucie, że się tego dokonało. Cieszę się, że pracowałam w najlepszej firmie VFX na świecie, przy największej produkcji na świecie, ale to już zaliczyłam i nie interesuje mnie dalsza praca w wielotysięcznym zespole nad kolejną częścią „Avatara” ani nad innymi filmami. Teraz chcę się w pełni skoncentrować nad własnymi produkcjami, animacjami. Jest to o wiele trudniejsze, bo nie będę już ograniczona do jednej rzeczy, jak modelowanie czy animacja twarzy. Pisałam kilka lat scenariusz, historię, którą powoli udostępniam w postaci króciutkich odcinków na YouTube. Projekt nazywa się „The Flipside” i nie jest przeznaczony dla dzieci – od razu to zaznaczę. Docelowo przeobrazi się w grę komputerową. Link do kanału dla zainteresowanych to: <https://www.youtube.com/channel/UC6Scq5Ee4GnXf2YJZN4HmOQ>.

Teraz jestem nie tylko „postaciowcem”, ale też reżyserem, aktorem, dźwiękowcem, animatorem, montażystą. Tych nowych ról dopiero się uczę, ale świetnie się przy tym bawię, a ogromu pracy w ogóle się nie boję, a wręcz przeciwnie. Dochodzi do takich momentów, że muszę sama sobie przypominać, że człowiek ma ciało, o które trzeba też zadbać, aby funkcjonowało.

Dziękuję za rozmowę. ■



NOWY ROK, NOWE PRZEPISY

Nowory rok przyniósł zmiany m.in. w prawie o ruchu drogowym. Trzeba będzie się przygotować na kolejne podwyżki, zaostrenie przepisów czy zmiany w przeglądach aut.

Tekst: Radosław Czerwiński

Zdjęcie: Magda Pater

DROŻSZE PRAWO JAZDY

Nowelizacja prawa o ruchu drogowym wprowadza nowe opłaty za egzaminy na prawo jazdy. Ich wysokość określać będzie sejmik danego województwa. Za część teoretyczną egzaminu dla każdej kategorii prawa jazdy opłata nie będzie mogła przekroczyć 50 zł. Do tej pory za samochód osobowy wynosiła 30 zł. Za część praktyczną, w zależności od kategorii, trzeba będzie zapłacić 200 lub 250 zł. Do tej pory był to koszt 140 zł.

PRZEGŁĄDY ZE... ZDJĘCIEM

Cena 99 zł za przegląd rejestracyjny (badanie techniczne auta) w 2023 r. nie zmieni się. Pojawi się coś innego. Diagnosta będzie musiał wykonać zdjęcia badanego samochodu według wyznaczonego schematu. Fotografie te będą dowodem na to, że auto rzeczywiście poddane było kontroli. Uwaga. Jeśli na przegląd zgłosimy się 30 dni po terminie obowiązywania poprzedniego, zapłacimy podwójną stawkę. Jeśli zrobimy to 30 dni przed upływem obowiązującego okresu ważności poprzedniej pieczętki, to w stacji kontroli pojazdów przedłużą nam ważność kolejnej pieczętki o odpowiednią liczbę dni.

DROŻSZE OC

OC, czyli obowiązkowe ubezpieczenie każdego pojazdu, może być droższe w tym roku dla tych kierowców, którzy spóźnią się z wykupieniem polisy. Przyczyną jest wzrost minimalnego wynagrodzenia. W 2023 r. wzrośnie ono dwukrotnie, więc kary dla spóźnialskich wzrosną również dwukrotnie. Przykładowo dla auta osobowego od stycznia jest to wzrost z 6.020 zł na 6.980 zł, a od lipca opłata ta wzrośnie do 7.200 zł.

NIETRZEŻWI ZA KIEROWNICĄ STRACĄ AUTA

Pod koniec tego roku zaczną obowiązywać przepisy, które nakazywać będą konfiskatę auta za jazdę pod wpływem alkoholu. Przypadek dotyczyć będzie kierowców, którzy mają co najmniej 1,5 promila lub gdy spowodują wypadek i będą mieć co najmniej 0,5 promila alkoholu we krwi. Tak samo karana będzie recydywa. Do tej pory nietrzeźwemu sprawcy wypadku (za spowodowanie ciężkich obrażeń lub śmierci) można było zasądzić karę 12 lat pozbawienia wolności. Teraz kara wymierzana będzie do 16 lat.

Przygotujmy się również na dodatkowe wydatki za autostrady (m.in. za odcinki oddane do użytku w 2017 r. i później). Kary zapłacą również ci, którzy nie złożyli na czas deklaracji PCC-3, czyli formularza pozwalającego na zapłacenie podatku od czynności cywilnoprawnych. ■

POWRÓT KURSÓW REDUKUJĄCYCH PUNKTY

W tym roku (choć nie wiadomo jeszcze, kiedy dokładnie) wejdą w życie przepisy pozwalające na redukcję punktów karnych. W 2022 r. kursy te były zlikwidowane. Teraz doszkalanie będzie obowiązkowe dla tych kierowców, którzy przekroczyli 24 punkty. Kursy mają trwać łącznie 28 godzin i obejmować cztery dni szkolenia. Trzeba będzie za nie zapłacić 500 zł. Jeśli w ciągu pięciu lat po odbyciu kursu kierowca ponownie przekroczy 24 „karniaki”, to straci prawo jazdy. Będzie się go traktować jak osobę, która nigdy nie miała prawa jazdy. Oznacza to, że zdając ponownie na prawo jazdy, po kursie w szkole nauki jazdy kierowca taki objęty będzie okresem próbnym.



PRĘDKOŚĆ, MOC, STABILNOŚĆ

Internet szerokopasmowy HFC
do 1 Gigabita
w Telewizji Kabłowej Koszalin



TELEWIZJA
KABŁOWA KOSZALIN
SPÓŁKA z o.o.

Biuro Obsługi Klienta
ul. Kotarbińskiego 3, Koszalin, tel. 94 720 20 20
www.tkk.net.pl

PODRÓŻ W NIEZNANE

Czerpiąc z kuchni całego świata, poznajemy zupełnie nowe smaki i aromaty. Warto więc skupić się na charakterystycznych kolorach i sposobie jedzenia w danym kraju. Tym razem Szymon Skierka, ekspert kulinarny z koszalińskiej restauracji, na przystawkę przygotował zupę pho, znaną z kuchni wietnamskiej. Esencjonalny rosół, a do tego krewetki. Taka zupa to nie tylko doskonała propozycja na obiad, ale także na imprezę. Danie główne to risotto alla milanese, klasyka mediolańskiej kuchni. Żółtego koloru daniu nadaje szafran, najdroższa i najszlachetniejsza przyprawa świata. A na deser coś z naszej polskiej kuchni, ale w formie ekspresowej – sernik z białą czekoladą. Wiosna i lato to czas wielu wyjazdów, więc odkrywajcie i cieszcie się jedzeniem, a później przenieście to na swoje talerze!



ZUPA PHO

Bulion

Składniki:

1,5 kg kręgosłupów, płetw, głów ryb
4 l zimnej wody
2 łodygi selera naciowego
2 cebule
2 ząbki czosnku
2-3 marchewki

2 pietruszki
1/4 korzenia selera
łyżeczka ziarenek pieprzu
2 liście kaffiru
3 cm korzenia imbiru
1/3 papryczki chilli
łyżeczka ziaren kolendry
2 gwiazdki anyżu
2 goździki
kora cynamonowa
4 ziarenka kardamonu
liście i korzonki świeżej kolendry
50 ml sosu sojowego
50 ml sosu rybnego
sok z limonki
2-3 łyżki cukru trzcinowego
sól do smaku
krewetki po 3 szt. na porcję



Sposób przygotowania:

Pozostałości po rybce umyj i osusz. Wrzuć do garnka. Dodaj cebule pokrojone w ćwiartki oraz łodygi selera naciowego. Składniki zalej zimną wodą i gotuj na małym ogniu przez ok. 30 minut. W tym czasie zdejmij łyżką lub sitkiem pojawiające się szumowiny. Po tym czasie do garnka dodaj umyte i obrane marchewki, pietruszkę oraz seler. Dodaj także liście kaffiru oraz kawałki obranego imbiru, chilli bez pestek, dwa ząbki czosnku. Na suchej patelni prażymy ziarna kolendry, anyż, goździki, korę cynamonową oraz kardamon. Po kilku minutach uprażone przyprawy dodaj do garnka. Bulion gotuj na małym ogniu przez 20 minut. Po tym czasie odcedź bulion, aby był klarowny. Do bulionu dodaj sos sojowy, sos rybny, sok z limonki i cukier trzcinowy. Zupę spróbuj, przypraw do smaku solą i ewentualnie dodatkowo sosem z limonki/sosem sojowym i cukrem trzcinowym.

Do podania na porcje**Składniki:**

3 krewetki
 100 g makaronu sojowego
 łyżeczka liści kolendry
 łyżeczka drobno pokrojonego szczypiorku
 garstka fasoli mung
 ćwiartka czerwonej cebuli
 kilka plasterków chili

Sposób przygotowania:

Krewetki zblanszuj w gorącej wodzie przez minutę. Umieść je w zimnej wodzie z lodem, tak aby zatrzymać proces gotowania. Makaron ugotuj zgodnie z instrukcją na opakowaniu. Umieść go w miseczce, dodaj wymienione składniki i zalej gorącym bulionem.

RISOTTO ALLA MILANESE

Składniki:

1 l bulionu wołowego
 1/2 łyżeczki szafranu
 100 g masła
 100 ml oliwy z oliwek
 mała cebula
 350 g ryżu do risotto
 150 ml białego wytrawnego wina
 4 łyżki drobno startego sera grana padano lub parmezanu
 sól do smaku
 opcjonalnie 50 g szpiku wołowego

Sposób przygotowania:

Do gorącego bulionu dodaj szafran i zagotuj. Cebulę obierz i pokrój w drobną kostkę. Na rozgrzaną patelnię dodaj oliwę, cebulę i szpik. Podsmaż cebulę, aż zmięknie i szpik rozpuści się. Dodaj ryż, dobrze wymieszaj i smaż do momentu, kiedy zrobi się szklisty. Wlej wino i odparuj. Małymi porcjami, dolewaj bulionu z szafranem. Gdy ryż wchłonie cały płyn dolewaj po trochu kolejne porcje bulionu do czasu, kiedy będzie miękki. Pamiętaj, że w środku będziemy czuli delikatny opór. Risotto zdejmij z ognia, dodaj odrobinę masła i startego sera. Wymieszaj, aż uzyskasz gęsty sos. Dopraw opcjonalnie solą.



EKSPRESOWY SERNIK Z BIAŁĄ CZEKOLADĄ

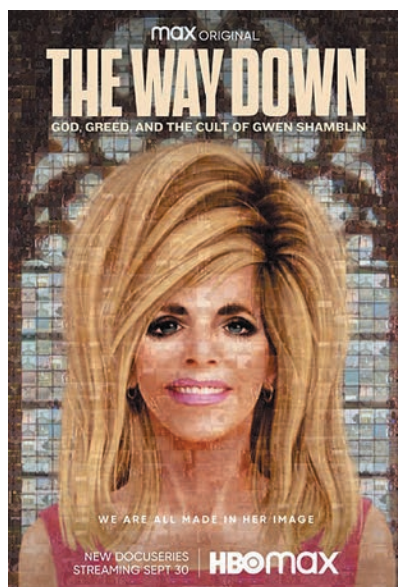
**Składniki:**

100 g herbatników
 200 g sera philadelphia
 200 ml śmietanki 30%
 200 g białej czekolady
 Łyżeczka ekstraktu z wanilii

Sposób przygotowania:

Pokrusz herbatniki i wypełnij nimi kokilki lub małe słoiczki. Polej roztopionym masłem tak, aby ciastka były delikatnie namoczone i ubij łyżeczką. Dodaj rozrobiony serek z odrobiną śmietanki i ekstraktem z wanilii. Na koniec rozpuść białą czekoladę ze śmietanką i polej ją po wierzchu. Odstaw do lodówki na ok. godzinę. Przed podaniem posyp pokruszonymi herbatnikami i udekoruj ulubionymi owocami.

Notowała Magdalena Wojtaszek
 Zdjęcia: Magda Pater



WAGA, BÓG I OGROMNE PIENIĄDZE

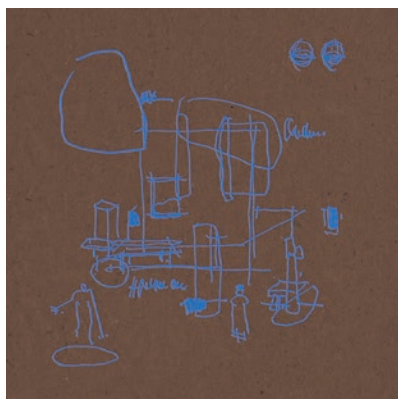
Co łączy otyłość z wiarą? Wbrew pozorom – bardzo wiele. Po pierwsze – można poświęcić chęć zjedzenia kolejnego posiłku Bogu, odmówić, a zatem być Bogu miłym, a do tego schudnąć. I przysporzyć fortunę pomysłodawczyni takiego połączenia. W młodości z otyłością borykała się pewna młoda Amerykanka. Gwen Shamblin, bo pod takim mężowskim nazwiskiem poznał ją amerykański świat, wynalazła nową metodę odchudzania. Sprawdziła ją na sobie, zyskała zgrabną sylwetkę, więc zaczęła proponować nowatorską terapię innym otyłym Amerykanom. I nie byłoby w tym nic dziwnego, przeciwnie, być może doczekałaby się nawet jakiejś prestiżowej nagrody w dziedzinie dietetyki, gdyby zbiorowego odchudzania nie zmieniła na... wiarę.

Metoda jest prosta, jak wyżej – zamiast zjeść – chwal pana! Charyzmatyczna Gwen zaczęła od wydawania książek i materiałów pomocnych przy odchudzaniu, a doszła do stworzenia własnego Kościoła.

Kilkuodcinkowy dokument pod tytułem „Ku przepaści: Bóg, chciwość i kult Gwen Shamblin” można oglądać na jednej z platform streamingowych. Dokument o kobiecie, która postanowiła sięgnąć w życiu po wszystko, co możliwe – władzę, sławę, poklask, błysk fleszy, oddany lud oraz tyle pieniędzy, że trudno te liczby sobie wyobrazić. Przekonana o swojej wyjątkowości założyła istne religijne imperium, w którym na jej sukces pracowały tysiące osób. I dopóki owieczki z Kościoła Pozostałych były posłuszne, mogły liczyć na wsparcie współbratymców. Gorzej, gdy owca okazała się czarna (na przykład ujawniła swoją orientację seksualną). Dla takich we wspólnocie cudownie odchudzonych miejsca już nie było.

Ktoś mógłby pomyśleć – skoro stworzyła ludziom taki świat i skoro im było w nim dobrze – po co się czepiać? Niestety, sielanka to była tylko krucha fasada, za którą kryły się zalecane metody bicia dzieci, kojarzenie małżeństw bez uczucia, zabieranie dzieci w przypadku rozvodu i wiele innych nieprawidłowości i przestępstw, za które krucha blondynka z coraz większą fryzurą siadywała na ławie sądowej. Ogromna fortuna i sztab prawników robili swoje i królowej odchudzania w imię Boga udawało się uniknąć karzącej ręki sprawiedliwości. Kościół rósł w siłę, powstawały spółki, które robiły kościelny biznes, szkoły dla dzieci Pozostałych, sklepy, zakłady usługowe, słowem – nowy świat. Z odcinka na odcinek oglądający zadaje sobie coraz więcej pytań i coraz bardziej nie może uwierzyć w fenomen tej postaci. Czy to znak naszych czasów, że zagubieni w codzienności szukamy guru, który wskaże nam lepszą, właściwszą drogę? Czy gatunek ludzki już tak ma, że potrafi solidnie pogmatwać sobie życie? Warto obejrzeć historię pewnej swego kobiety, która wierzyła, że jest łącznikiem między Absolutem a stadem owieczek. Tym bardziej że koniec historii imperium jest niewiarygodnie zaskakujący.

Joanna Wyrzykowska



POLSKI TOWAR EKSPORTOWY

Hanna Raniszewska, znana jako Hani Rani, to fenomen w polskiej muzyce. Ominęła tutaj rynek, aby najpierw stać się sławną na świecie. Jej albumy wydaje Gondwana Records, niezwykle uznana brytyjska oficyna. Obecnie Hania Rani to światowa sława pierwszego formatu, która gra w najważniejszych salach filharmonicznych. Jej ostatnie płyty nagrywane były w towarzystwie Dobrawy Czocher (wielonocze) i Krystyny Miłobędzkiej (poetka czytająca swoje wiersze).

Płytą „On Giacometti” Hania Rani wróciła do nagrywania solo na pianinie. Słychać jednak w niektórych utworach grające w tle instrumenty smyczkowe oraz syntezator. Głównie to jednak melancholijne, niezwykle nastrojowe granie na pianinie. Klimat, który serwuje nam młoda Polka, jest unikalny, delikatny i kruchy. To muzyka oparta na emocjach przywołujących tęsknotę za tym, co ulotne. Jest jak piórko na wietrze, jak wiosenne roztopy, jak moment wschodu słońca w mroźny, słoneczny poranek. Ciężko uwierzyć, ile emocji można zmieścić w pojedynczym (z wyjątkami) instrumencie.

Album „On Giacometti” inspirowany jest słynnym artystą Alberto Giacomettim. Szwajcarski rzeźbiarz i malarz był jednym z pionierów rzeźby modernistycznej na pograniczu ekspresjonizmu i surrealizmu. Aby nagrać ten album, Rani pojechała w szwajcarskie góry, aby tam, w izolacji, komponować. Słychać tę ciszę gór i przestrzeń. Sama struktura płyty przypomina debiut Rani i zarazem jej najsztywniejsze dzieło „Esja”. Tylko miejsce komponowania zostało zmienione – z Islandii na Szwajcarię. Tu i tu mamy jednak do czynienia z przestrzenią i przyrodą. Jeżeli ktoś chciałby to usłyszeć za pomocą muzyki, to lepszej propozycji niż Hania Rani nie znajdzie. Genialna muzyka, która potrzebuje spokoju aby jej posłuchać. Znajdźmy więc wolny wieczór i odpłynijmy w ciszę szwajcarskich gór przykrytych śniegiem, na którym miękko ląduje każdy dźwięk.

Mateusz Prus

MUZYKA NA MIARĘ OSCARA?

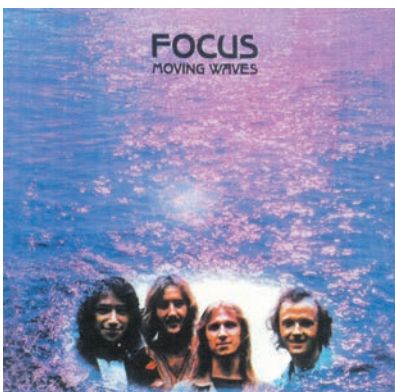


Myślę, że trudno będzie przebić się proponowanej przeze mnie muzyce przy nominowanej ścieżce dźwiękowej do „Elvisa”, która swoją drogą jest fenomenalna. Na krążku znajdziemy nie tylko jego muzykę, ale także inspiracje twórczością artysty. Moją propozycją jest jednak soundtrack z innego filmu, również nominowanego do Oscara – „Babilon”, Ścieżkę dźwiękową stworzył Justin Hurwitz, który odpowiada za muzykę w takich filmach, jak: „Whiplash”, „Pierwszy człowiek” czy „La la land”. Praca kompozytora za „Babilon” została już doceniona i nagrodzona Złotym Globem. Przez ponad trzy godzinny filmu towarzyszy nam muzyka, która jest integralną częścią tego, co widzimy na ekranie. Piosenka „Voodoo Mama” nadaje tempa i jeszcze długo po seansie nie można przestać jej nucić. Numer jest różnorodny, tak samo jak cały film. Przedstawia historię przeskoku z kina niemego na kino dźwiękowe. Widzimy, jak wyglądało kręcenie scen, gdzie dźwięk nie był wtedy ważnym elementem. Później poznajemy losy aktorów Hollywood w latach 20. XX wieku, którzy musieli przyporządkować się nadchodzącym zmianom, a jak się okazuje nie zawsze z dykcją było najlepiej. W filmie zobaczymy gwiazdorską obsadę m.in. Margot Robbie i Brada Pitta. Moim zdaniem świetnie dobranych do tych ról.

Historia dokładnie przypomina, za co kochamy kino i jak w każdym przypadku początki tego, co robimy, są trudne. Czytając wiele recenzji o tym filmie, mnie chaos w fabule zupełnie nie przeszkadza, traktuję tę produkcję z przymrużeniem oka. Świetną kompozycją jest także numer „Call me munny”. Na ścieżce dźwiękowej znajdziemy 48 utworów. Czy muzyka odzwierciedla lata 20. XX wieku w Stanach Zjednoczonych? Raczej nie, ale stanowi atrakcyjną formę dla całego przekazu. Już w pierwszych minutach na ekranie pojawia się wiele gorszących obrazków, które są uznawane obraz współczesnej popkultury. To, co widzimy na ekranie, nie jest żadną laurką, a raczej czymś, co ma intrygować i dać do myślenia. Warto jeszcze zwrócić uwagę w filmie na postać Sindeya Palmera, którego gra Jovan Adepo. W „Babilonie” wcielił się w ciemnoskórego muzyka jazzowego, który obdarzony jest ogromnym talentem muzycznym. Niestety, też musi mierzyć się z czasami, w których żyje, a co za tym idzie, z dyskryminacją rasową. Nie mogłabym nie wspomnieć również o głównym bohaterze, którego gra Diego Calva. Meksykański aktor wciela się w postać, która chce pracować w branży filmowej. W 1926 roku na ekrany kin wchodzi film „Śpiewak z Jazzbandu” i wszystko przewraca się do góry nogami, Bohater, który poznaje całą maszynę od kulis, przechodzi przemianę.

„Babilon” to wizualny i muzyczny przepych, który mnie w oderwaniu się od codzienności odpowiada!

Magdalena Wojtaszek



UROK FOCUSA

Niewiele holenderskich zespołów zaistniało w szerszej świadomości światowych odbiorców rocka progresywnego. Szczepnie mówiąc, tak naprawdę to zaistniał chyba tylko jeden – Focus. Zespół powstał w 1968 roku, a więc w najlepszych latach tworzenia się rocka progresywnego. To wtedy pojawiły się na scenie muzycznej najśłynniejsze grupy takie jak Pink Floyd, Genesis czy Jethro Tull. I wiele innych, a pomiędzy tymi gigantami znalazł swoje miejsce i Focus. Chociaż tylko na krótki okres, a w zasadzie chwila sławy przyszła po wydaniu drugiej płyty „Moving Waves”. Płyta wydana w 1971 r. od razu spotkała się z uznaniem.

Pierwszy utwór na płycie to „Hocus Pocus”, będący największym, i tak naprawdę jedynym międzynarodowym przebojem grupy. W założeniu miał być muzycznym żartem, ale stał się jednym z klasyków muzyki rockowej. Jest nietypowym utworem, bowiem choć w pewnym sensie instrumentalnym, to jednak kluczową rolę odgrywa w nim wokalista van Leer, który dysponując wyjątkową skalą głosową, śpiewa jodłując po tyrolsku. Liryki w tym wokalnie nie za dużo, ale wokalne łamańce brzmią brawurowo. Utwór grany mocno, dynamicznie ma się nijak do reszty płyty, która grana jest delikatnie, wręcz pejzażowo, operując delikatną linią melodyczną i szerokim planem.

Focus założony został przez gitarzystę Jana Akkermana wpieranego przez wokalistę, flicistę i klawiszowca Thijs van Leera. Obaj byli absolwentami konserwatorium, a więc posiadali znakomite umiejętności techniczne oraz wiedzę muzyczną, co znakomicie przełożyło się na styl grupy, wyraźnie nawiązujący do klasyki. Płytę „Moving Waves” kończy 22-minutowa suita „Eruption”, która podobno nawiązuje do opery „Eurydyka” autorstwa Jacopo Peri. Dla odbioru utworu żadnego znaczenia inspiracja ta nie ma, jednak wpływy muzyki klasycznej są wyraźne. Piękna muzyka na nostalgiczne wieczory, chociaż w przypadku tworzenia takiego nastroju należy zdecydowanie pominąć pierwszy utwór „Hocus Pocus”. Szkoda, że zespół Focus popadł w zapomnienie, bowiem muzyka, jaką tworzył, nic się nie zestarzała i nadal, po 50 latach, potrafi zachwycić nastrojem, bogactwem instrumentalizacji i ciekawą melodią.

Robert Nawrocki

KRZYŻÓWKA

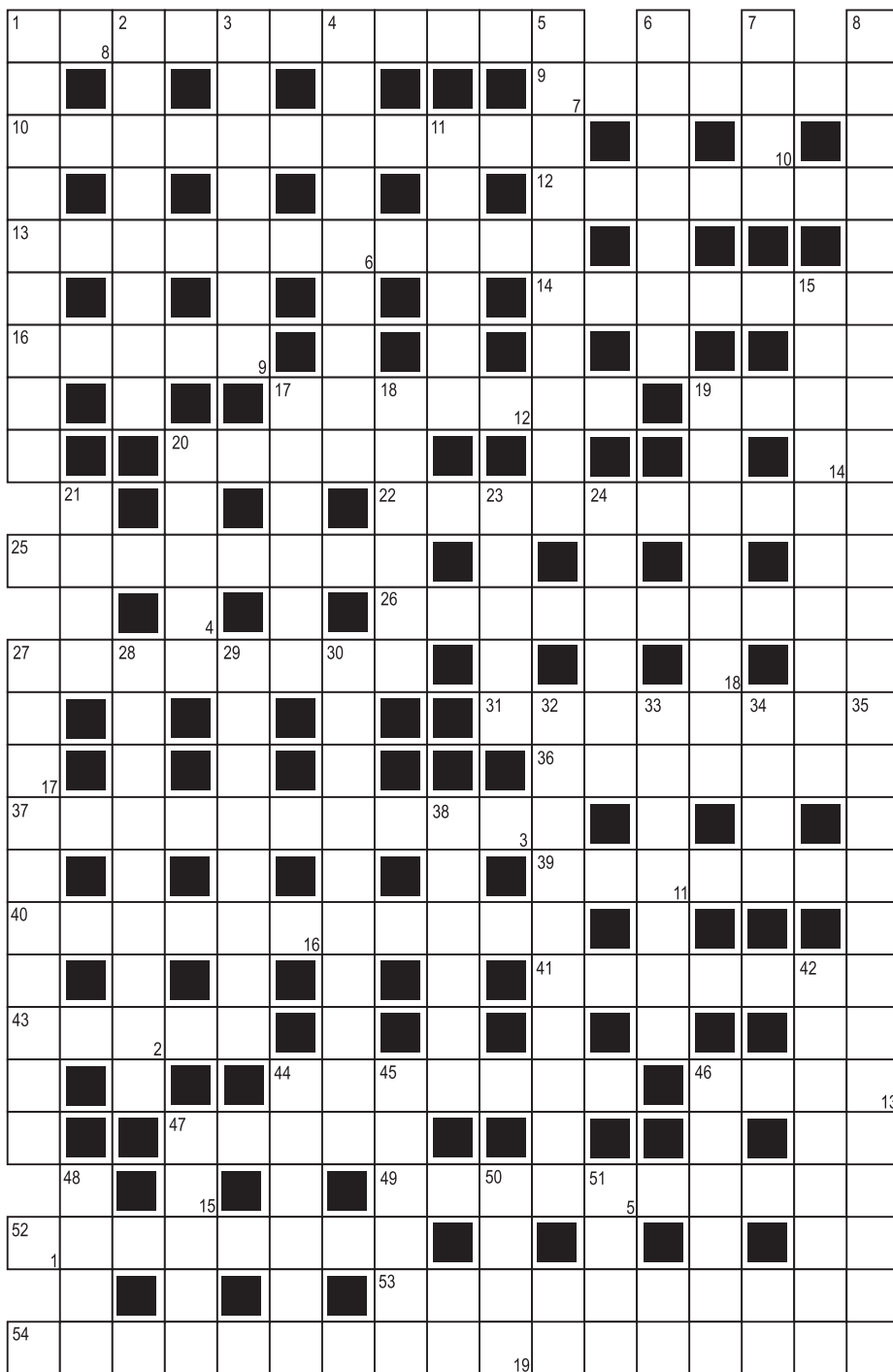
Rozwiązaniem krzyżówki jest motto z okresu Oświecenia. Utworzą je litery z pól dodatkowo ponumerowanych w prawym dolnym rogu, uporządkowane od 1 do 19. Życzymy naszym czytelnikom przyjemnego łamania głowy!

Poziomo:

- 1) zwirowany ..., jeden z głównych bohaterów powieści „Alicja w krainie czarów”
- 9) pot. ucztą pijacka, bibka, ochłaj
- 10) inne określenie sprzątaczk
- 12) leczenie chorób
- 13) krótki utwór literacki koncentrujący się zwykle wokół jednego zdarzenia
- 14) ślędz marynowany zwinięty w rulonik
- 16) styl jazzowy z lat 1935-45, stadium przejściowe między historycznym i nowoczesnym stylem
- 17) bufet w jednostce wojskowej, często połączony ze stołówką
- 19) bōżek miłości z łukiem i strzałą, syn Afrodyty
- 20) „... i chwala”, najbardziej znana powieść Jarosława Iwaszkiewicza
- 22) degustacja
- 25) spór, dyskusja, dysputa na temat polityczny, społeczny, naukowy albo artystyczny
- 26) osoba odczytująca zakodowane informacje
- 27) dawna nazwa krawcowej, bieliźniarki
- 31) tablica reklamowa nad drzwiami sklepu, zakładu usługowego (zdrobniale)
- 36) rodowita mieszkanka egipskiego miasta portu na Nilu
- 37) w astronomii: zodiak, czyli ... niebieski
- 39) nieduży strug
- 40) można ją wysunąć na jakieś stanowisko albo zgłosić na listę wyborczą
- 41) wieś w woj. wielkopolskim, znana z zabytkowego Pałacu i Ogrodu Raczyńskich
- 43) krótkie teksty i wierszyki, które można przeczytać np. w pamiętnikach z czasów szkolnych
- 44) rower złożony samodzielnie z różnych części
- 46) ryba wędrowna z rodziny łososiowatych, ceniona ze względu na smaczne mięso
- 47) żywy ukraiński i rosyjski taniec
- 49) zawiadomienie adresata o przesyłce pocztowej
- 52) prażona masa z utartych migdałów z cukrem
- 53) lekarz chorób wewnętrznych
- 54) do wody z trampoliny albo z kwiatka na kwiatek.

Pionowo:

- 1) Stenia, polska piosenkarka, znana z takich piosenek, jak „Czy to walc”, „Daj mi świat”
- 2) ozdobna puszysta kulka z wełnianych nici, przyszyta do dziecięcej czapki
- 3) forma dzierżawy maszyn, urządzeń, samochodów (pisownia oryginalna)
- 4) jest nim Szwed, Norweg albo Duńczyk
- 5) miejsce tymczasowego pobytu, zamieszkania
- 6) jedna z figur akrobacji lotniczej
- 7) najpowolniejszy, miarowy chód konia
- 8) drąg w rękach linoskoczka
- 11) obróbka plastyczna metalu na zimno (ułoż ze słów GOT ZIN)
- 15) lampa kwarcowa
- 17) dawne miasto wojewódzkie znane na świecie z Fabryki Fortepianów i Pianin „Calisia”
- 18) to, na czym coś jest osadzone np. rękojeść, trzonek
- 19) osoba niemająca obywatelstwa żadnego państwa; bezpaństwowiec
- 20) ryba słodkowodna; głąbiel
- 21) wiklinowy na grzyby, na zakupy
- 23) ssak z rodziny jeleniowatych, żyjący na Płw. Indyjskim; czytał
- 24) mit. egip.: brat i mąż Izdy, ojciec Horusa
- 27) narzędzie w ręku pielęgniarzki, wywołujące często dreszcze
- 28) urządzenie do wymiany ciepła między dwoma ciałami cieplnymi lub gazowymi, stosowane do ogrzewania lub chłodzenia
- 29) diabetycy
- 30) wrzaskliwa kobieta, skłonna do wygłaszania szumnych frazesów
- 32) postać biblijna, ojciec św. Jana Chrzciciela
- 33) reumatyczne zapalenie mięśni okolicy łędźwiowej; postrzał
- 34) stop cynku z aluminium, miedzią i niewielkim dodatkiem magnezu
- 35) francuski taniec kabaretowy (XIX w.)
- 38) jaszczurka z Ameryki Południowej i Środkowej; legwan
- 42) człowiek uszczypliwy, drwiący z innych; szyderca
- 44) spolszczona forma nazwiska naszego wybitnego kompozytora romantycznego
- 45) spazmatyczny płacz; szlochanie
- 46) praca przy krośnię albo na bardku
- 47) stała rubryka w czasopiśmie
- 48) ludowy obchód witania wiosny albo mały lasek
- 50) inna nazwa Przesmyku Korynckiego
- 51) polska rzeka lub bardzo zakaźna choroba wieku dziecięcego.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	

- 34) stop cynku z aluminium, miedzią i niewielkim dodatkiem magnezu
- 35) francuski taniec kabaretowy (XIX w.)
- 38) jaszczurka z Ameryki Południowej i Środkowej; legwan
- 42) człowiek uszczypliwy, drwiący z innych; szyderca
- 44) spolszczona forma nazwiska naszego wybitnego kompozytora romantycznego

- 45) spazmatyczny płacz; szlochanie
- 46) praca przy krośnię albo na bardku
- 47) stała rubryka w czasopiśmie
- 48) ludowy obchód witania wiosny albo mały lasek
- 50) inna nazwa Przesmyku Korynckiego
- 51) polska rzeka lub bardzo zakaźna choroba wieku dziecięcego.

ZAPRASZAMY!!!

STACJA KONTROLI POJAZDÓW

pn.-pt. 8:00-18:00
sob. 9:00-14:00

NR ZK/018/P

tel. **668 308 308**

Koszalin, ul. Kolejowa 7B



Tu znajdziesz **MIASTOPLUS**

Kultura

- Centrum Kultury 105, ul. Zwycięstwa 105
- Koszalińska Biblioteka Publiczna, pl. Polonii 1
- Bałtycki Teatr Dramatyczny, pl. Teatralny 1
- Filharmonia Koszalińska, ul. Piastowska 2
- Centrum Rozrywkki „Na Pięterku”,
ul. Jana Pawła II 15a
- Galeria „Na Pięterku”

Handel i usługi

- Telewizja Kablowa Koszalin,
ul. Kotarbińskiego 3
- Biuro Podróży Turysta, ul. Andersa 2
- Galeria Emka, ul. Jana Pawła II 20
- Hotel Gromada, ul. Zwycięstwa 20

Biznes

- Centrum Biznesu, ul. Zwycięstwa 42
- Koszalińska Izba Przemysłowo-Handlowa,
pl. Wolności 2-3

Inne

- Regionalne Centrum Informacji Turystycznej,
ul. Dworcowa 11-15
- KSM „Przylesie”, ul. Fałata 13
- KSM „Na Skarpie”, ul. Na Skarpie 17

Kawiarnie

- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 26a
- Kawiarnia Sowa, ul. 1 Maja 9a
- Koci Miętka, ul. Zwycięstwa 78

**Miesięcznik dostaniesz również w Dziale Reklamy
Telewizji Kablowej Koszalin, ul. Krzyżanowskiego 4**

NOWE

OTWARCIE



EMKA



MARCA

Koszalin, Galeria EMKA ul. Jana Pawła II 20